

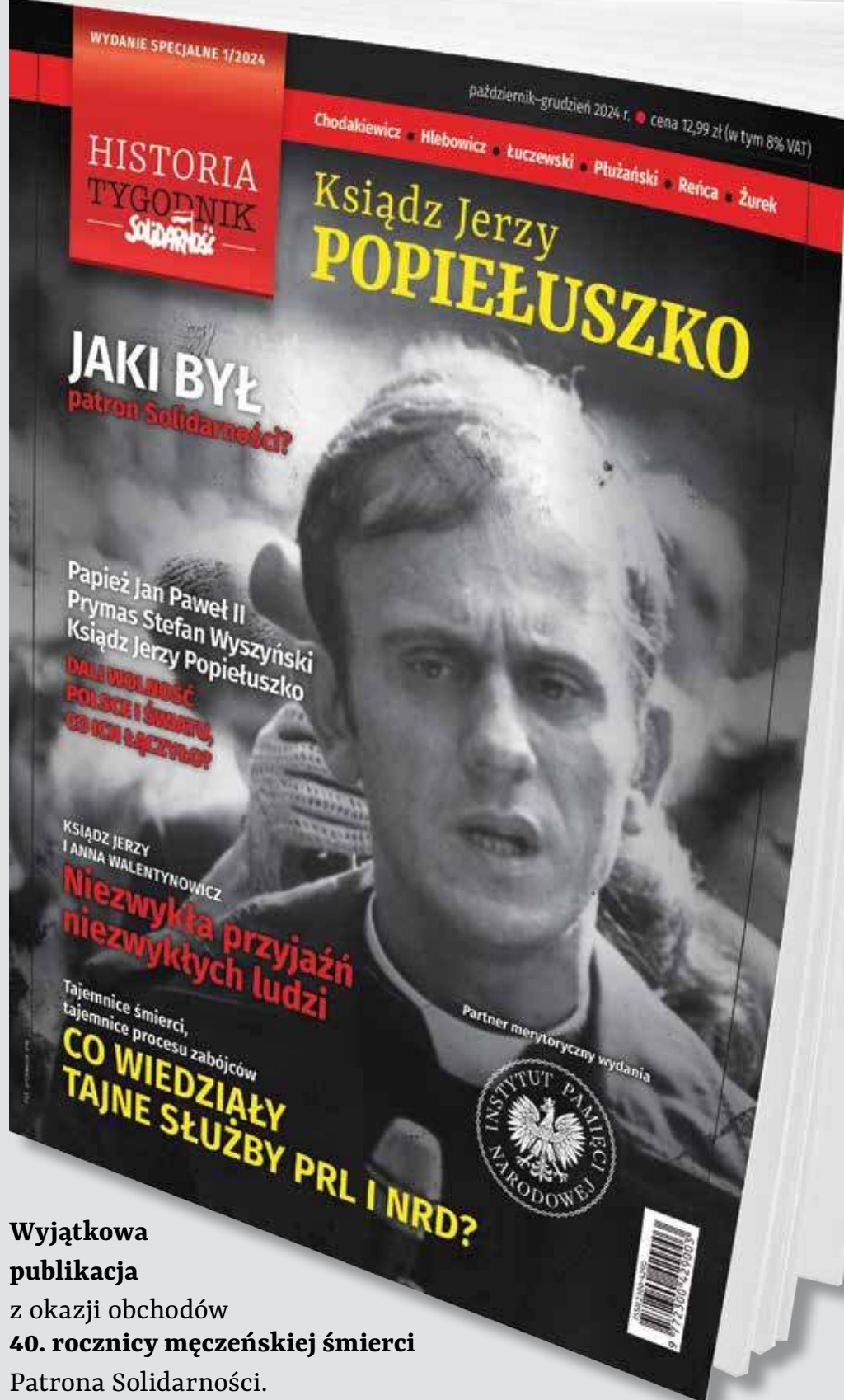
TYGODNIK

Solidarność



W obronie GOTÓWKI

- DOBRO ZWYCIĘŻYŁO!
- FABRYKA TROLLI NA EKRANIE



Wyjątkowa

publikacja

z okazji obchodów

40. rocznicy męczeńskiej śmierci

Patrona Solidarności.

Poznaj życie legendarnego **Duszpasterza Ludzi Pracy**

DO KUPIENIA NA

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

**Michał Ossowski**

REDAKTOR NACZELNY

Pieniądz cyfrowy to żeton, który działa tylko dopóty, dopóki można nim obracać w ramach systemu finansowego. Ale jeżeli jest się akurat poza systemem finansowym albo system finansowy się popsuł lub też zawiesił, albo ktoś celowo ten system popsuł za pomocą cyberataku, bo akurat trwa wojna na przykład, no to w takim świecie człowiek z tymi żetonami staje się bezradny – mówi na łamach „TS” Brett Scott w rozmowie z Rafałem Wosiem. W tym numerze piszemy o globalnej ofensywie cyfrowego pieniądza i gotówce jako gwarancie bezpieczeństwa ekonomicznego. Bo w sytuacji cyberataku pieniądze cyfrowe przestają mieć wartość. Właściwie często znikają zupełnie.

O tym, jak kruchy jest współczesny świat,

możemy dowiedzieć się dopiero w sytuacji kryzysu. W mniejszej lub większej skali. „Niedawna powódź pokazała, jak utopijne są wszelkie idee Zielonych Ładów, zeroemisyjności czy powszechnej cyfryzacji. Kiedy całe wioski czy miasta zostają odcięte od prądu, sprawdzają się: pojazdy benzynowe, gotówka i latarki na baterie” – pisze Agnieszka Żurek.

Najsolidniejszym fundamentem każdego

państwa powinno być bezpieczeństwo. Zarówno ekonomiczne, jak i energetyczne. O tym, że polityka Zielonego Ładu zaprzecza tej zasadzie, podkreślają eksperci,

którzy na zlecenie NSZZ „Solidarność” opracowali raport pt. „Drapieżny Zielony (nie) Ład”. Prof. dr hab. inż. Władysław Mielczarski, współtwórca raportu, idzie jeszcze dalej. „Przeprowadzone analizy wskazują, że nawet po uwzględnieniu kosztu zakupu pozwoleń na emisje CO₂ (podatek ETS) koszty całkowite produkcji energii elektrycznej przez farmy wiatrowe i farmy fotowoltaiczne są większe od kosztów produkcji energii elektrycznej z węgla”. Co więcej, nieraz pisaliśmy na łamach „TS” o tym, że energia wytworzona przez OZE jest niestabilna i nie może stanowić podstawy zabezpieczenia energetycznego. Za to, jak wskazują eksperci, obecnie forsowana polityka klimatyczna doprowadzi niebawem do zubożenia całych gospodarek oraz społeczeństw państw należących do UE.

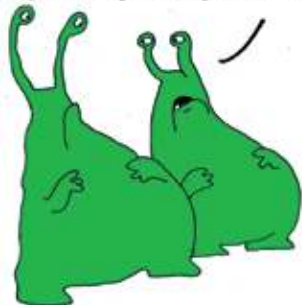
Krótko mówiąc, polityka Zielonego Ładu, podobnie jak pieniądz cyfrowy, nie sprawdzi się w czasie kryzysu. Ale... sama ten kryzys prędzej czy później wywoła. Tego paradoksu chyba nie widzą jeszcze brukselskie elity. Ale my – już tak. I to jest moment, w którym powinniśmy protestować przeciwko narzucaniu nam takich rozwiązań. Dla własnego bezpieczeństwa. **S**

Niedawna powódź pokazała, że kiedy całe wioski czy miasta zostają odcięte od prądu, sprawdzają się: pojazdy benzynowe, gotówka i latarki na baterie.

NA DOBRY POCZĄTEK

KRYSZTOPA

W całej galaktyce panuje naukowy konsensus w zakresie konieczności kompletnej depopulacji Ziemi dla dobrego klimatu w kosmosie...



kr 12 10 11 8 4 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 61 62 63 64 65 66 67 68 69 70 71 72 73 74 75 76 77 78 79 80 81 82 83 84 85 86 87 88 89 90 91 92 93 94 95 96 97 98 99 100

05.11.2024
WYDANIE Nr

45

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

W obronie
gotówki

8

Dlaczego warto się bić o gotówkę.
Rozmowa z B. Scottem

12

Tylko gotóweczka, kochani!

16

A może cyfrowy złoty?

18

Dżentelmeni o pieniądzach (nie) rozmawiają

TYGODNIK
Solidarność

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS”
na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.comZastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:

Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21

Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec,
Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik,
Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:

Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac,
Cezary Krysztopa, Monika Małkowska,
Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska,
Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:

Andrzej Berezowski, Marcin Darmas,
Aleksandra Fedorska, Paweł Gabrys-Kurowski,
Ewa Górka, Krzysztof Karnkowski, Wojciech Kulecki,
Zdzisław Krasnodębski, Piotr Łopuszański, Jan
Muś, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian
Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski,
Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub
Szmít, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski

Łamanie:

Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto:

Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:

Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz,
Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:

Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska,
Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic,
Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik,
Anna ZgierskaArtykułów niezamówionych redakcja nie zwraca
i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian
tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:

Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.

ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank

58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

KRAJ

Narracja o ściganiu przestępców legła w gruzach	22
„Dobro zwyciężyło!”	26
Kampania na ostrzu noża	28
Ostatni bój Adriana Zandberga	32

ZAGRANICA

Ulice Tbilisi mogą spłynąć krwią	38
----------------------------------	----

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

42

KULTURA

Nie jesteśmy produktem. Rozmowa z A. Kilanowskim	44
Cyfrowy generator wzburzenia	48

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

54

HISTORIA

Jak wygląda morderstwo sądowe? Rozmowa z P. Semczukiem	56
---	----

ŚWIAT WOKÓŁ NAS

Sztuczna inteligencja i jej prawdziwe ofiary	60
--	----

LUDZIE WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

To naprawdę niewielkie koszty za wolność. Sylwetka Mirosławy Ołdak	62
---	----

ZWIĄZEK

Co w związku	66
Lech Kaczyński znów przeszkadza	68

FELIETONY:

WOŚ	7
OKRASKA	15
GAC	25
PŁUŻAŃSKI	41
MAŁKOWSKA	52
KRYSZTOPA	74

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA	21
Z PAMIĘTNIKA ROBOTNIKA	31
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO	36
KARUZELA Z BLOGERAMI	53
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO	71
PRAWO	72



Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

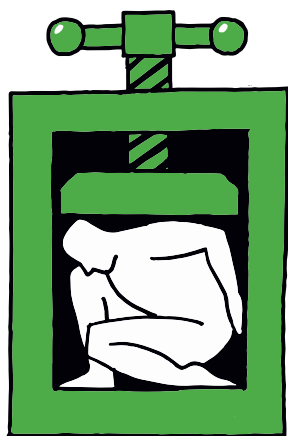
Czy jest Pani/Pan **za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”**

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

PODPISZ WNIOSEK O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU



ZATRZYMAJ ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ
Solidarność

NSZZ RI
Solidarność



Rafał Woś

A ty gdzie chowasz pieniądze?

Byłem kiedyś na „bardzo ważnej konferencji finansowej”. Wiecie: chrom, szkło i buraczki z serem brie. Te sprawy. Podchodzi do mnie facet i pyta znad sałatki z anchois: „A Pan szanowny gdzie przechowuje aktywa?”. „Bo ja – ciągnie dalej niezrażony moim milczeniem – tylko we framudze. We framudze jest najlepiej”. Mało się nie udławiłem polędwiczką zapijaną czerwonym. Patrzę podejrzliwie na nieznajomego. Nie wygląda ani na oszołoma, ani na preppera, co to zawsze ma plecak spakowany na wypadek wybuchu wojny jądrowej i drugi samochód zaparkowany w lesie na wylotówce, żeby zdążyć, zanim wszyscy ruszą w panice, by uciekać z miasta. Ale nie. To normalny facet z bardzo ważnej konferencji finansowej. Garnitur, krawat, identyfikator.

Zaczął mi gawędzić o tej framudze. I on mnie zaczął przekonywać, że nasze czasy w niczym nie różnią się od czasów sprzed lat pięćdziesięciu albo stu. A każdy, kto myśli, że „dzisiaj jest zupełnie wykluczone, żeby...”, tak naprawdę grzeszy brakiem pokory. No

bo czemu mielibyśmy być tak różni od naszych rodziców czy dziadków? Jak wtedy, tak i teraz życie może toczyć się do czasu zupełnie normalnie. Ale nagle może przecież wydarzyć się coś, co nas z normalności wyrwie. Na przykład jakiś kryzys wojenny, finansowy, pandemia lub cyberatak. I co wtedy? Skąd weźmiesz pieniądze? Pójdiesz do bankomatu? A tam „sorry, out of service”. Pobiegniesz do banku? A tu drzwi zamknięte i setki spanikowanych tak samo jak ty klientów. Wtedy wracasz do domu i zostaje ci właśnie stara dobra framuga. A w niej złoto, precjoza albo choćby i tylko gotówka.

Przypomniała mi się ta historia w czasie rozmowy z Brettem Scottem, którą publikujemy w tym wydaniu „TySola”. Facet też nie jest żadnym oszołomem, który chce zawracać Wisłę kijem, i nie umie się pogodzić z nowoczesnością. Przeciwnie, otrzaskany jest jak mało kto w świecie kryptowalut, CBDC (cyfrowa waluta banków centralnych) czy niewymiennych tokenów (tzw. NFT). A jednak Brett mówi rzeczy zastanawiająco proste. Powiada „nie rezygnujemy z gotówki” albo „nie dajmy sobie wmówić, że materialny pieniądz to przeszłość, którą powinniśmy zostawić za sobą”. Zwraca uwagę, że pieniądz cyfrowy może być ogromnym ułatwieniem transakcji. Ale to nie jest tak, że dzieje się to bezkosztowo. Bo koszt jest. Jest nim – na przykład – oddanie kolejnego obszaru naszej wolności i anonimowości. Albo stworzenie kolejnego narzędzia, które silni mogą wykorzystać kiedyś przeciwko nam, by nas kontrolować. Rezygnacja z gotówki to też stałe poszerzanie zjawiska „prywatyzacji pieniądza” – wpychania się pomiędzy sprzedawcę i kupującego chciwego pośrednika w postaci kolejnej firmy z Doliny Krzemowej, która na naszej transakcji nie tylko zarobi, ale może też finalnie decydować, czy do niej w ogóle dojdzie, czy też nie.

Słuchajmy takich głosów, nawet jeśli wydają się nam w pierwszej chwili dziwaczne i niepasujące do realiów. Mnie też ten facet od framugi wydawał się dziwaczny i niepasujący. A jednak parę lat później – po wojnie, pandemii i paru innych zdarzeniach, których „nikt się nie spodziewał” – przyznaję mu rację. Nie powiem wam, czy chowam pieniądze we framudze, ale tak naiwnie jak wtedy już na to wszystko nie patrzę. **S**

Temat Tygodnia

Dlaczego warto się bić O GOTÓWKĘ

– W systemie pieniądza wyłącznie cyfrowego można w zasadzie zablokować każdą transakcję, która się komuś z jakiegoś powodu nie podoba. Na przykład po to, żeby zniszczyć konkurencję albo doprowadzić kogoś do bankructwa z przyczyn ideologicznych – mówi antropolog ekonomiczny **Brett Scott** w rozmowie z **Rafałem Wosiem**.



Fot. printscreen

– W jednej ręce mam banknot stużłotowy. W drugiej kartę kredytową połączoną z moim kontem w banku. I to pieniądz, i to pieniądz, prawda?

– Nie do końca.

– To niech Pan wyjaśni różnicę. Bo w naszym świecie dominuje zdaje się przekonanie, że to dwie formy tego samego. Przy czym jedna jest stara, a druga nowa. Wielu powie, że mamy tu do czynienia z takim prostym wynikaniem. Ze zwyczajną zmianą technologiczną. Kiedyś jeździliśmy konno, dziś jeździmy samochodami. Kiedyś czytaliśmy gazety papierowe, dziś czytamy strony internetowe. Czy to tak samo działa z pieniądzem?

– Pytanie dotyczy różnicy między pieniądzem tradycyjnym, czyli materialnym, a pieniądzem digitalnym, cyfrowym albo – jak czasem bywa nazywany – pieniądzem bankowym. Aby zrozumieć różnicę, opowiem Panu historię o kasynie.

– Proszę bardzo. Rzadko bywam, więc chętnie posłucham.

– Jak ktoś wchodzi do kasyna, to żeby wziąć udział w tej zabawie, która się tam odbywa, musi na wejściu oddać swoje pieniądze i za te pieniądze dostaje od kasyna żetony. Za pomocą tych żetonów obstawia ruletkę albo inne karciane gry. Wygrywa albo przegrywa i dopiero przed wyjściem zmienia żetony z powrotem na „prawdziwe pieniądze”. Z pieniądzem cyfrowym jest bardzo podobnie. Jeśli ktoś otwiera konto w banku, to też dostaje od banku takie żetony. Zupełnie jak w kasynie. To są te pieniądze, które widzimy na swoim koncie bankowym.

– No, ale tam jest napisane, że mamy tyle a tyle złotych, dolarów albo euro.

– Tak jest napisane. Ale to nie jest tak, że te dolary albo euro gdzieś tam

leżą w piwnicy i na nas czekają. To są żetony, za pomocą których można uczestniczyć w obrocie finansowym w ramach wielkiego systemu nadzorowanego przez bank centralny.

– I co to za różnica?

– Pierwsza i najbardziej podstawowa. Pieniądz gotówkowy jest bardziej pierwotny. Można nim wciąż dużo łatwiej obracać w tzw. normalnym świecie. Pieniądz cyfrowy to żeton, który działa tylko dopóty, dopóki można nim obracać w ramach systemu finansowego. Ale jeżeli jest się akurat poza systemem finansowym albo system finansowy się popsuł lub też zawiesił, albo ktoś celowo ten system popsuł za

wymiany pieniądza cyfrowego na tradycyjny. Pilnują tego przecież państwa i instytucje na czele z bankiem centralnym, o którym Pan wspominał.

– To prawda. Zwracam tylko uwagę, że czasem coś może pójść nie tak. Także w przyszłości. I wtedy pieniądz tradycyjny i pieniądz cyfrowy to nie są wcale ekwiwalenty jeden do jednego. Proszę jednak zwrócić uwagę, że nie tak się to nam przecież komunikuje. Od przedstawicieli sektora bankowego słyszymy w ostatnich latach zupełnie inną opowieść. Oni nam mówią, że to przejście od pieniądza papierowego do pieniądza cyfrowego jest rodzajem takiego oczywistego polepszenia. To jest ta opo-

BIG TECH, DZIAŁAJĄC W ŚCISŁEJ SYMBIOZIE, JUŻ JAKIŚ CZAS TEMU ROZPOCZĄŁ WIELKĄ GRĘ O PRZEJĘCIE WSZYSTKICH PŁATNOŚCI NA KULI ZIEMSKIEJ. I TU NA ICH DRODZE STOI WŁAŚNIE GOTÓWKA.

pomocą cyberataku, bo akurat trwa wojna na przykład, no to w takim świecie człowiek z tymi żetonami staje się bezradny. Nikt mu kawałka plastiku w takiej sytuacji nie zaakceptuje. Telefonem też nie zapłaci. No, chyba że odda sam telefon za tyle, na ile zostanie wyceniony.

– Po polsku mówi się o takiej sytuacji, że ktoś został jak Himilbach z angielskim...

– Himils... kto?

– Nieważne, taki żart, idźmy dalej. Ale przecież nie jest tak, że banki mogą się tak łatwo wykpić od

wieść o postępie. O przejściu od czegoś gorszego do czegoś lepszego. Mówią nam na każdym kroku, że gotówka jest gorsza od pieniądza cyfrowego. I to jest wielkie nadużycie.

– Ale dlaczego?

– Weźmy schody.

– Schody?

– Tak, schody. Historia schodów jest taka, że schody to bardzo stary wynalazek. Windy są wynalazkiem nowszym. I schody, i windy mają swoje plusy i minusy. Tymczasem w praktyce w wielu nowych budynkach mamy już taką sytuację, że schodów nie

można użyć. Wybór pomiędzy nowym i starym został zredukowany założeniem, że windy są lepsze od schodów. Ale cóż to za postęp, jak nie można już używać schodów? Wielki mi postęp. Tak samo z pieniędzmi. Mówią nam, że jak zlikwidujemy gotówkę, to będzie postęp. I ja się z tym nie zgadzam. Bo zdrowy system walutowy powinien się opierać na możliwości wyboru pomiędzy jednym a drugim. Tak jak w dobrze zaprojektowanym budynku powinniśmy mieć dostęp i do schodów, i do windy.

– Kto i dlaczego chce nam wmówić, że pieniądź cyfrowy to jest nowe, lepsze wcielenie gotówki?

– To jest wielka wspólna operacja dwóch olbrzymów naszych czasów. Z jednej strony jest super potężny sektor finansowy, którego obroty idą w biliony. Z drugiej strony mamy chyba jeszcze potężniejszego gracza, czyli tzw. big tech. To znaczy całą Dolinę Krzemową i firmy typu Google, Meta, Amazon czy Apple. Oni, działając w ścisłej symbiozie, już jakiś czas temu rozpoczęli wielką grę o przejęcie wszystkich płatności na kuli ziemskiej. I tu na ich drodze stoi właśnie gotówka. To jest wróg, który oddziela ich od upragnionego celu.

– Aż tak?

– Żeby lepiej opisać sytuację, musimy szybko pokazać, jak wygląda system monetarny współczesnego kapitalizmu. To nie jest jeden prosty mechanizm. To raczej ekosystem składający się z kilku podsystemów. Pierwsza warstwa tego systemu to oczywiście banki centralne i międzynarodowe instytucje finansowe będące czymś w rodzaju ich wspólnych przedsięwzięć. Ale zaraz obok jest kolejna warstwa. Na nią składają się oczywiście banki komercyjne. I każdy, kto odrobinę się zna na tym, jak to naprawdę funkcjonuje, wie, że praktyczną rolę w emitowaniu pieniędzy w ramach systemu każdej gospodarki kapitali-

stycznej, również polskiej, odgrywają banki komercyjne. Działają one w porozumieniu z bankiem centralnym, działają na podstawie jego zezwolenia, ale spora część emisji pieniądza odbywa się właśnie poprzez system banków komercyjnych.

wego, czyli tych żetonów, o których mówiliśmy na początku.

– I co z tego wynika?

– Musimy cały czas pamiętać o tym, że pomiędzy tymi podpiętymi do siebie graczami też jest olbrzymia walka o...

INSTYTUCJOM TAKIM JAK PAYPAL ZALEŻY NA TYM, ŻEBY BYŁO JAK NAJWIĘCEJ TRANSAKCJI ZA POMOCĄ PIENIĄDZA CYFROWEGO. ŻEBY JAK NAJWIĘKSZY KAWAŁ GLOBALNEJ EMISJI PIENIĄDZA SZEDŁ PRZEZ NICH.

– To prawda. Klasycznym sposobem takiej kreacji pieniądza jest kredyt, na przykład hipoteczny. Ja czy Pan idziemy do banku, bank przyznaje nam kredyt i bum – na naszych kontach ląduje pieniądź, który bank wykreował uprzednio z powietrza. Jednym kliknięciem.

– Tak to działa. Ale żeby było bardziej skomplikowane, jeszcze jest trzecia warstwa graczy – tworzących system monetarny. To na przykład PayPal, czyli amerykańskie prywatne przedsiębiorstwo oferujące usługi płatnicze umożliwiające przedsiębiorcom i konsumentom posiadającym adres e-mail wysyłanie oraz odbieranie płatności przez internet. Albo starsze od niego firmy oferujące karty kredytowe: Visa, Mastercard itd. I teraz zobaczmy, że ci wszyscy gracze między sobą są powiązani systemem wzajemnych wtyczek. Banki komercyjne są podpięte do banku centralnego i stamtąd biorą pieniądź, który potem dalej emitują, ale nie emitują go same, tylko jeszcze do nich są podpięci inni gracze komercyjni, tacy jak PayPal, i oni też biorą udział w emisji tego pieniądza cyfro-

zyski. System bankowy zarabia w ten sposób, że udziela kredytów. Im więcej udzieli, tym więcej zarobi. Analogicznie instytucjom takim jak PayPal zależy na tym, żeby było jak najwięcej transakcji za pomocą pieniądza cyfrowego. Żeby jak największy kawał globalnej emisji pieniądza szedł przez nich. Bo oni wtedy zarabiają. To jest ich racja istnienia. To są – by tak rzec – wyspecjalizowani producenci tych żetonów cyfrowego pieniądza. W ich żywotnym interesie jest, by tych żetonów trzaskało jak najwięcej. Logiczne, prawda?

– Prawda. A gotówka jest ich śmiertelnym wrogiem, bo na niej nie zarabiają.

– Dlatego trudno się dziwić, że te firmy wyspecjalizowane w produkcji cyfrowego pieniądza, a będące najczęściej wspólnymi przedsięwzięciami biznesowymi dwóch wielkich „big-ów”: big techów z Doliny Krzemowej i big finance z Wall Street i innych ośrodków, dysponując ogromnymi pieniędzmi, nie szczędzą środków na reklamę. W miejscu jak Londyn, w którym kiedyś mieszkalem, widać tysiące billboardów i reklam firm oferujących „nowe

rewolucyjne i jeszcze lepsze” systemy płatności bezgotówkowych. W tym samym czasie Bank Anglii [brytyjski bank centralny – przyp. red.], który zaopatruje te wszystkie systemy w pieniądze, nie robi własnych kampanii, aby promować na przykład pieniądź gotówkowy. Tego nie ma. I tu wchodzi psychologia społeczna. Bo bardzo często jest tak, że widzimy jakieś procesy i myślimy sobie, że to, co się dzieje, jest zupełnie naturalne. No, tak wyszło, bo tak musiało wyjść. Nie widzimy, że ta sytuacja jest efektem lobbingu wielu sił, którym zależy, byśmy tak myśleli. W tym wypadku byśmy byli absolutnie przekonani i nie podawali nawet w wątpliwość tego, że pieniądź cyfrowy jest „nową, rewolucyjną i jeszcze lepszą formą gotówki”.

– Czy chodzi tylko o narrację i agresywną reklamę?

– O nie, problem jest poważniejszy. Następuje stopniowa „prywatyzacja pieniądza państwowego”.

Taki na przykład Amazon. Amazon nie cierpi gotówki. W zasadzie, gdyby zapytać o Amazon, 100% transakcji mogłoby się odbywać wyłącznie w pieniądzu cyfrowym. W ich interesie jest to, żeby przekonywać ludzi, że cyfrowy pieniądź jest nie tylko takim funkcjonującym sposobem „gdzieś obok” systemu płatności. Oni chcą, żeby gotówka zniknęła zupełnie. Żeby się kojarzyła z czymś przaśnym, niewygodnym, wręcz brudnym. I żeby umarła. Dlatego prą w kierunku takich rozwiązań – także legislacyjnych – w ramach których na płacenie tradycyjne nakładane są coraz to nowe ograniczenia. Co do wysokości transakcji na przykład. Oczywiście wszystko to jest tłumaczone koniecznością „walki z nielegalnym finansowaniem”. Reszty dopełnia zwalczanie przez nich wszelkich pomysłów regulacyjnych, by jednak sprzedawcy mieli obowiązek akceptowania gotówki. Korporacje czerpiące zyski z pieniądza cyfrowego najchętniej ograniczyły-

by do minimum liczbę bankomatów. W wielu zachodnich miastach to się już dzieje. Nie sposób czasem znaleźć miejsca, w którym można podjąć gotówkę. Przypadek? Absolutnie nie. To jest perfidny plan całkowitego przejęcia rynku.

– Ale patrząc z perspektywy zwykłego człowieka, po co właściwie opłakiwać gotówkę?

– Powodów jest bardzo wiele. Pierwszy to możliwość wyboru, do czego człowiek powinien mieć prawo. Drugi to nadmierny rozrost potęgi prywatnych emitentów pieniądza cyfrowego z Doliny Krzemowej. Trzeci to prywatność. Pieniądź cyfrowy nie zapewnia jej wcale. Czy chcemy takiego świata, w którym ci, co chcą, mogą wiedzieć o absolutnie wszystkich naszych transakcjach finansowych? Idźmy dalej. Kolejna konsekwencja odejścia od gotówki

w zasadzie zablokować każdą transakcję, która się komuś z jakiegoś powodu nie podoba. Na przykład po to, żeby zniszczyć konkurencję albo doprowadzić kogoś do bankructwa z przyczyn ideologicznych. Jest wreszcie zagrożenie całkowitym wyjęciem wtyczki. No bo co jeśli gigantom się system pieniądza cyfrowego nagle zepsuje albo ktoś zepsuje go celowo, by wywołać chaos i złamać morale społeczeństwa. W świecie opartym na gotówce jest to dużo trudniejsze. I na koniec wielki problem wykluczenie tych, którzy – z różnych powodów – nie chcą korzystać z pieniądza cyfrowego. Wyparcie gotówki to jak odcięcie ich od tlenu. Faktyczna dyskryminacja. A może i eksterminacja.

– To co możemy zrobić?

– Trzeba się bronić. Trzeba bronić pieniądza tradycyjnego. I nie dać sobie

KORPORACJE CZERPIĄCE ZYSKI Z PIENIĄDZA CYFROWEGO NAJCHĘTNIEJ OGRANICZYŁYBY DO MINIMUM LICZBĘ BANKOMATÓW. W WIELU ZACHODNICH MIASTACH TO SIĘ JUŻ DZIEJE.

to uderzenie w lokalne podmioty gospodarcze. W świecie bezgotówkowym kilka największych korporacji wciska się w pośrednictwo absolutnie każdej transakcji. Nawet w relacje pomiędzy konsumentem a lokalnym sprzedawcą bułek, fryzjerem czy...

– Księdzem proboszczem, któremu daliśmy na e-tacę zamiast tradycyjnej.

– Nie pomyślałem o tym, ale tak. To jest to zagrożenie. Kolejnym problemem jest kontrola. W systemie pieniądza wyłącznie cyfrowego można

wmówić, że mamy tu do czynienia z jakąś obiektywną logiką dziejową. Zadanie jest wielkie. Ale taka też jest stawka.

Brett Scott jest dziennikarzem, aktywistą, antropologiem ekonomicznym, byłym maklerem finansowym i konsultantem ds. kryptowalut. Autor książek „Cloudmoney. Gotówka, karty, krypto – wojna o nasze portfele” (Instytut Spraw Obywatelskich, Łódź 2024) oraz „The Heretic’s Guide to Global Finance” (2013). Twituje jako @suitpossum. Brett Scott gościł w Polsce na zaproszenie Instytutu Spraw Obywatelskich. 

Tylko gotóweczka, kochani!

„Seerioo? Heloooo, **dwudziesty pierwszy wieeeek!** Nie miałam w ręku papierowych pieniędzy od lat!” – usłyszałam od przedstawicielki pokolenia Z, kiedy otrzymawszy w góralskiej karczmie rachunek za obiad, wyjęłam z torebki portfel, a z portfela banknoty.

| Agnieszka Żurek |

Předstawicielka spojrzała na mnie z mieszkanką niedowierzania, obrzydzenia i pogardy, jakbym właśnie wyjęła z torebki martwego szczura i chciała zapłacić nim za posiłek.

System bezgotówkowy a sprawa oscypka

Przez chwilę poczułam się „starym przegrywem”, mimo że gorąco popieram gotówkę, doceniam jej zalety i jestem przeciwna zastąpieniu jej pieniądzem cyfrowym. Jak widać, nie jestem do końca odporna na podprogowe oddziaływanie presji społecznej.

Chwilę później jednak – nomem omen – karta się odwróciła. „A te łoscypki to Wam spsedom po dziesięć złotych za stukę, świeżutkie, pysne” – zachęciła nas starsza góralka. Przedstawicielka Pokolenia Z zapytała, czy można zapłacić kartą, ale usłyszała: „Tylko gotóweczka, kochani!”. I tu wkroczyłam ja – stary wiarus z workiem dukatów. Delektując się świeżutkimi oscypkami, PPZ przyznała, że jednak tradycyjne środki płatnicze czasami się przydają. Kolejny dzień przywitałyśmy w kolejce po bilety do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Chcesz zapłacić

gotówką? Stań grzecznie na końcu i czekaj cierpliwie na swoją kolej. PPZ spojrzała na mnie triumfalnie i wyjęła swojego iPhone’a, żeby kupić bilety online. I tu – mówiąc językiem młodzieżowym – zonk. Brak zasięgu. PPZ pobladła i spytała, co teraz? Sprawdziłam, czy uda mi się kupić bilety przy użyciu mojego archaicznego smartfona. Udało się, kiepski telefon najwidoczniej lepiej łapał kiepski zasięg. Wypad w Tatry pokazał, że najwygodniej jest posiadać zarówno kartę, jak i gotówkę. I dokładnie tak powinno zostać. Łatwiej zapłacić rachunki przelewem, z kolei świeżo uwędzonego oscypka od gaździny raczej trudno będzie kupić kartą. I niech tak pozostanie.

Problemy z zasięgiem to nie zawsze utrapienie, ale czasem też upragniony odpoczynek. Nie raz słyszałam w drodze do Doliny Pięciu Stawów Polskich: „Nie mam zasięgu, ale super!” albo: „O nie, zasięg wrócił, będą teraz do mnie wydzwaniać”. Miejsc „analogowych” jest coraz mniej, warto je zachować i wiedzieć, że jeszcze gdzieś w Polsce można odpocząć od wszechobecnych kamer, kodów i terminali, a fakt kupienia przez nas szarlotki i wełnianych

Fot. T. Gutry



skarpet w schronisku na Hali Ornak pozostaje słodką tajemnicą naszą i właścicieli schroniska, do której nie ma dostępu żaden bank ani inne oko Wielkiego Brata.

Latarka, benzyna i gotówka

Gotówka to nie tylko wolność i prywatność, ale przede wszystkim – bezpieczeństwo. Niedawna powódź pokazała, jak utopijne są wszelkie idee Zielonych Ładów, zeroemisyjności czy powszechnej cyfryzacji. Kiedy całe wioski czy miasta zostają odcięte od prądu, sprawdzają się: pojazdy benzynowe, gotówka i latarki na baterie. Podobnie jest podczas innych



klęsk żywiołowych albo – nie daj Boże – wojny. Nieustanne straszenie nas obcą interwencją zbrojną przy jednoczesnych planach wprowadzenia pieniądza cyfrowego wygląda na głupotę lub sadyzm (przy czym jedno nie wyklucza drugiego), a jednak się dzieje. Jeśli nawet – miejmy nadzieję – nie będzie u nas wojny, to przecież i w czasach pokoju w dowolnym właściwym momencie do władzy dojść może ktoś w rodzaju kanadyjskiego premiera Justina Trudeau, który pokazał, czym grozi dominacja lub monopol pieniądza cyfrowego. Protest kierowców ciężarówek przeciwko radykalnym obostrzeniom covidowym

i segregacji sanitarnej został stłumiony poprzez zastosowanie przemocy ekonomicznej. „Zostaliście ostrzeżeni. Jeśli twoja ciężarówka jest używana w blokadach, twoje firmowe rachunki zostaną zablokowane. Zostanie też zawieszone ubezpieczenie twojego samochodu” – mówiła wówczas kanadyjska minister finansów Chrystia Freeland. Nie trzeba było pałować ludzi (choć i do tego niestety dochodziło), najskuteczniejsze okazało się zamrożenie im środków na kontach. Jeśli jakkolwiek władza ma możliwość zablokowania obywatelom pod dowolnym pretekstem (zawsze można użyć przecież „argumentu”: „To dla

waszego dobra!”, „chronimy was przed Wami samymi/faszyzmem/głupotą ludzką/terroryzmem/ruskimi onucami” etc.) środków finansowych decydujących o ich przetrwaniu, staje się władzą totalitarną.

Chiny mówią: „Potrzymajcie nam herbatę”

Kolejny argument za pozostawieniem w obiegu gotówki to kwestia rozmaitych odgórnich szalonych planów, które pozwalamy sobie narzucić np. przez Unię Europejską. Przykładem może być tu Krajowy Plan Odbudowy, który teoretycznie miał na celu pomóc krajom członkowskim w odbudowaniu ich gospodarek po pandemii, w praktyce jednak to unijni urzędnicy decydowali o tym, na co dane środki mogą zostać przeznaczone. Pojawiały się tam np. takie absurdy, jak postulat powołania „komisarza cyfrowego” w każdej gminie. Totalna cyfryzacja to totalna kontrola. Stąd już niedaleko do realizacji dystopicznej wizji Janusza A. Zajdla nakreślonej w jego książce „Limes inferior”. Na swoje jedzenie musisz „zarobić” określoną liczbę punktów w określonych kategoriach. Nie podoba Ci się władza? Będziesz jadł jedzenie gorszej jakości, mieszkał w bardziej obskurnym miejscu i podróżował mniej wygodnymi środkami transportu bądź nie podróżował w ogóle. Lojalnym obywatelom władza będzie oferowała dostęp do odpowiedników „Pewexów”. Niemożliwe? Chińczycy mówią: „Potrzymajcie nam herbatę”.

Jeśli nawet założymy, że jakimś cudem u władzy będą się znajdować wyłącznie ludzie szlachetni, odpowiedzialni i moralni (ha, ha, ha), to i tak powszechna cyfryzacja i centralizacja systemów bankowych oznacza powierzenie niemal wszystkich dziedzin ludzkiego funkcjonowania sztucznej inteligencji, która – na co mamy coraz więcej

dowodów – bywa nie tylko zawodna, ale i niebezpieczna. Ekstremalnym przykładem – a przecież niestety realnym – było morderstwo polskiego wolontariusza Damiana Sobola i innych pracowników organizacji World Central Kitchen. „Postępująca automatyzacja wojny w Gazie mogła doprowadzić do izraelskiego ataku na pracowników organizacji World Central Kitchen, w którym zginął m. in. Polak Damian Soból. Okazuje się bowiem, że cele uderzeń IDF na Hamas wybiera algorytm przy minimalnym udziale człowieka. To tłumaczyłoby zbombardowanie dobrze oznaczonego i znanego Izraelczykom konwoju humanitarnego. Wystarczyło, że maszyna zidentyfikowała wśród jego członków osobę uznaną za terrorystę – co nie jest niemożliwe, biorąc pod uwagę, że Hamas kontroluje najdrobniejsze aktywności w Gazie – by program pod nazwą Lawenda aktywował procedury, które mogły doprowadzić do śmierci siedmiu ludzi, w tym Damiana Sobola. O tym, jak działa powszechnie stosowany przez IDF w Gazie algorytm, pisze znany izraelski dziennikarz i fil-

inteligencji działań dotychczas wykonywanych przez ludzi.

Przeterminowała mi się kasa

Pieniądz cyfrowy – podobnie jak obecnie nasze karty bankomatowe czy dowody tożsamości – może mieć swoją datę ważności. „Ma on formę blockchaina, algorytmu, w którym możemy zapisać wszystko, możemy go warunkować, powiedzieć, że to i to musisz spełnić, żeby mieć ten pieniądz. Pieniądz cyfrowy może mieć różne funkcje – ileś pieniądza będziesz mógł wydać na produkty spożywcze – założmy, że będzie to np. pieniądz w kolorze żółtym, zielony na transport i czerwony na rozrywkę. I będzie lista towarów zaka-

będzie szans na zbudowanie majątku” – ostrzega w rozmowie z Grzegorzem Kuszem opublikowanej na kanale „Agent Specjalny” w serwisie YouTube doradca inwestycyjny Katarzyna Szewczyk.

Rafał Górski,

szef Instytutu Spraw Obywatelskich, przywołuje na łamach portalu ISO anegdotę, za sprawą której plany zastąpienia gotówki pieniądzem cyfrowym same się skomentowały. Górski podaje: „Podczas spotkania z dziennikarzami Adam Glapiński wspominał o zabawnym incydencie

ŁATWEJ ZAPŁAĆ RACHUNKI PRZELEWEM, Z KOLEI ŚWIEŻO UWĘDZONEGO OŚCYPKA OD GAŹDZINY RACZEJ TRUDNO BĘDZIE KUPIĆ KARTĄ. I NIECH TAK POZOSTANIE.

w polskim parlamencie. Podczas jednej z komisji parlamentarzysty zarzucili NBP, że chce wrócić do średniowiecza, ograniczając płatności

bezigotówkowe i broniąc gotówki. Prezes NBP skomentował tę wypowiedź jako «niesłuchanie prymitywną uwagę». Podkreślił, że nic takiego nie ma miejsca. NBP rozwija płatności bezgotówkowe, tylko jednocześnie „żąda miejsca dla płatności gotówkowych». A zabawne było to, że wspomniana komisja parlamentarna miała

odbyć się rano, a odbyła się wieczorem, bo były problemy z systemem informatycznym parlamentu. «I tym osobom nic do głowy nie przyszło, żadna żarówka się nie zapaliła w mózgu. Co może się zdarzyć, jeśli system cyfrowy ulegnie zawieszeniu, albo wprost przerwie funkcjonowanie» – podkreślił szef NBP. **S**

MIEJSC „ANALOGOWYCH” JEST CORAZ MNIEJ, WARTO JE ZACHOWAĆ I WIEDZIEĆ, ŻE JESZCZE GDZIEŚ W POLSCE MOŻNA ODPOCZAĆ OD WSZECHOBECNYCH KAMER, KODÓW I TERMINALI.

mowiec Yuval Abraham, powołując się na źródła wojskowe, bezpośrednio zaangażowane w obsługę militarnych AI” – pisze na łamach „Wprost” Jakub Mielnik. Oczywiście, czym innym są kwestie militarne, a czym innym finansowe, ten jaskrawy przykład pokazuje jednak, jak tragicznie może zakończyć się powierzenie sztucznej

zanych. [...] Pieniądz cyfrowy – i nie jest to science fiction, tylko to już się dzieje, wiemy, że w niektórych regionach świata pieniądze cyfrowe są już mocno testowane – ma być pieniądzem terminowym, podobnie jak produkty spożywcze. Po upływie określonej daty pieniądz ten po prostu zniknie. To oznacza, że nie



Remigiusz Okraska

Niesolidarni chcą solidarności

Gdy byłem dzieckiem, w PRL-owskim sklepie nad koszem na śmieci wisiał plakat z napisem: „Żądasz czystości? Zachowaj ją sam”. To samo można powiedzieć o solidarności.

Niedawno w krakowskim oddziale Polskiego Radia szef z nadania Platformy Obywatelskiej podjął przedziwną decyzję. Z podległego mu Off Radia, skierowanego do młodych, pozbył się dwunastu współpracowników. Zastąpiła ich... sztuczna inteligencja.

Audycje będą tworzone nie przez żywych ludzi, lecz za pomocą nowoczesnej technologii. Wygeneruje ona treści i głosy. Nazwano to „eksperymentem”. Gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, czyli o niższe koszty.

Jeden ze zwolnionych opisał sprawę w mediach społecznościowych. Tekst rozszedł się szeroko, głównie w środowiskach liberalnych i „postępowych”. Oburzenia było co niemiara. Że zwalniają w ogóle. Że z publicznego radia. Że „nasi” (czyli PO-wcy) zwalniają „swoich”, bo zwolnieni to modna młodzież, a nie jakieś „mohery” czy „PiS-owcy”.

Ważne było również to, że zwolniono ich w imię „zatrudnienia” sztucznej inteligencji. Na „postępowe” środowiska padł strach, że żywych inteligentów zastąpi sztuczna inteligencja. Nie tylko w radiu i nie tylko w tym.

Kiedy automaty zastępują ludzi w innych zawodach, to „postępowcy” niezbyt się przejmują. Nie ma oburzenia, gdy przybywa samoobsługowych kas, a ubywa kasjerek. Podobnie wtedy, gdy w imię „rentowności”, czyli niższych kosztów, pod nóż idą kopalnie. Albo jeśli na bruk trafiają listonosze czy maszyniści.

Oburzenia nie było, gdy z mediów publicznych zwalniano „PiS-owców”. Przejęto je na rympał, poddano czystce wręcz groteskowej. Nie tylko zwalniano ludzi. Nie tylko zwalniano ich za samo podejrzenie o „PiS-owość”.

Skasowano całe archiwa. Wyłączono dostęp do tekstów na portalu TVP Info. Wyłączono archiwa „Tygodnika TVP” – magazynu o kulturze, ideach, społeczeństwie. Wyłączono portal „SwipeTo”, skierowany do młodzieży, pozbawiony treści politycznych – jego „winą” było to, że powstał za PiS jako inicjatywa TVP.

Mało kto protestował. Mało kto się burzył. Mało kto uznawał takie praktyki za barbarzyńskie.

Niespełna rok istnienia rządu PO i spółki to fala zwolnień grupowych w całym kraju. Likwidacja zakładów. Masowe wyrzucanie z pracy. Mnóstwo ludzkich krzywd. Utrata zatrudnienia to duży problem, a wręcz tragedia. To brak podstaw bytu. Mało co jest gorsze w życiu człowieka.

I znowu nic. Brak poważniejszego zainteresowania środowisk „postępowych”. Milczeli, gdy ludzie Tuska zwalniali z mediów publicznych, z instytucji, bo chodziło o „PiS-owców”. Ale milczeli także, gdy wyrzucano zwykłych, niepolitycznych pracowników ze spółek publicznych, jak PKP Cargo czy Poczta Polska. Milczeli, gdy rząd nie robił nic wobec masowej fali zwolnień w sektorze prywatnym.

A teraz przyszedł po nich. I zaczęły się apele o solidarność. Bo chodzi o „swoich”. O całe dwanaście osób z wielkiego miasta z dobrym rynkiem pracy.

Gdy oni mówią o solidarności, ja mam przed oczami tabliczkę z PRL-owskiego sklepu. Idę takim tamtego napisu. Żądasz solidarności? Zachowaj ją sam. Wobec innych. Albo nie licz na innych, gdy sam wpadniesz w kłopoty. S

A może cyfrowy złoty?

Między wygodą, anonimowością i prywatnym monopolem

Czy nam się to podoba czy nie – w rozwiniętych gospodarkach coraz mniej osób używa gotówki. Nie zmienia to faktu, że płatności bezgotówkowe – choć wygodne – niosą ze sobą **zagrożenia**. Czy poza gotówką i kartami płatniczymi jest jeszcze jakieś inne wyjście?

Dominik Kaczmarek

Coraz większa popularność kart płatniczych i płatności mobilnych wynika z wygody tych rozwiązań. Doceniają ją zwłaszcza mieszkańcy dużych miast i młodsze pokolenie. W tej grupie przywiązanie do papierowego pieniądza niemal nie występuje. Wyobraźmy sobie jednak, że tylko dwie ogromne zagraniczne korporacje kartowe kontrolują wszystkie płatności w kraju. Tak w niektórych krajach wygląda rzeczywistość. Na przykład w Norwegii transakcje gotówkowe stanowią tylko 3% liczby transakcji oraz 2% wartości transakcji. W takiej sytuacji prywatni monopolisci mogą narzucać wysokie opłaty za swoje usługi, a obywatele nie mają realnej alternatywy. Dodatkowo osoby starsze lub te, które nie radzą sobie z nowoczesnymi technologiami, mogą zostać wykluczone z systemu finansowego.

Z drugiej strony gotówka ma wiele zalet. Jest jedynym rodzajem pieniądza banku centralnego dostępnym dla każdego. W przeciwieństwie do gotówki środkowej, którą posiadamy na kontach, to w istocie prywatne zobowiązania banków. W normalnych czasach jest ono praktycznie równoważne banknotom sygnowanym

przez Narodowy Bank Polski. Sytuacja zmienia się jednak w razie kryzysu finansowego lub innej sytuacji sprzyjającej masowej panice. Wtedy okazuje się, że taki prywatny pieniądz banków komercyjnych leży niżej w hierarchii niż pieniądz banku centralnego. Bank komercyjny może zbankrutować, co przynajmniej dla części posiadaczy depozytów (np. dla samorządów i firm, których środków nie ubezpiecza Bankowy Fundusz Gwarancyjny) oznacza bezpowrotną utratę pieniędzy. To ryzyko nie dotyczy gotówki. Jako prawny środek płatniczy poparty autorytetem państwa jest ona najbezpieczniejszym aktywem finansowym.

Jednak pieniądz gotówkowy nie jest pozbawiony wad. Choć anonimowość transakcji stanowi zaletę z perspektywy ochrony prywatności, to niestety ułatwia również funkcjonowanie szarej strefy. Płatności gotówkowe o wiele łatwiej mogą wymknąć się fiskusowi. A to oznacza mniejsze dochody państwa. Anonimowość ułatwia również działalność przestępczą i pranie pieniędzy, które z niej pochodzą.

Czy powyższe oznacza, że nie ma dobrego wyboru? Czy jesteśmy



skazani bądź to na dominację zagranicznych korporacji kartowych i pieniądź „gorszego sortu”, bądź na sprzyjającą przestępczości i omijaniu podatków gotówkę? Niekoniecznie. Na horyzoncie wyłania się bowiem alternatywa, która ma potencjał połączenia

najlepszych cech gotówki oraz płatności kartowych. Mowa o tzw. cyfrowym pieniądzu banku centralnego (CBDC).

Cyfrowy złoty posiadałby wiele cech gotówki. Podobnie jak ona byłby zobowiązaniem banku centralnego, a nie banków komercyjnych.

Stałby więc w hierarchii pieniądza wyżej od środków na kontach bankowych. Bywa to nawet podnoszone jako argument przeciwko CBDC. Pojawienie się cyfrowego złotego mogłoby doprowadzić do ucieczki depozytów bankowych. No bo kto nie wolałby najbezpieczniejszej formy pieniądza od zobowiązania prywatnego banku? Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, w której cyfrowy złoty dawałby jego posiadaczom odsetki. Banki komercyjne musiałyby zaoferować znacznie atrakcyjniejsze lokaty. Oprocentowanie cyfrowych złotówek mogłoby również wzmocnić tzw. transmisję polityki pieniężnej. Chodzi o to, aby decyzje Rady Polityki Pieniężnej dotyczące stóp procentowych miały bardziej bezpośrednie przełożenie na gospodarkę.

Cyfrowy złoty stanowiłby również odpowiedź na prywatne kryptowaluty. Bitcoin i inne podobne kryptoaktywa są bardzo niestabilne. Z uwagi na sposób zaprojektowania mają też

duży ślad energetyczny i są podatne na oszustwa. Teoretycznie odpowiedzi na te problemy mogłyby być tzw. stablecoiny. Te kryptowaluty mają być wymienne 1 do 1 na walutę. Jednak nadal są to jedynie zobowiązania prywatnej instytucji, która je emituje.

Ich wiarygodność może być wątpliwa, szczególnie w sytuacji kryzysowej, gdy posiadacze stablecoinów masowo zażądałby konwersji na prawdziwą walutę. W przeciwnieństwie do nich cyfrowy złoty byłby emitowany przez bank centralny i przez to stu-procentowo wiarygodny.

Cyfrowy złoty stanowiłby więc najbezpieczniejsze cyfrowe aktywo dostępne dla ogółu społeczeństwa.

No dobrze, ale co z łatwością użycia i anonimowością? Gotówką potrafi się posługiwać każdy i gwarantuje one zachowanie prywatności. Czy to w ogóle możliwe w przypadku

W dodatku istnieją urzędy, które pozwalają na dokonywanie transakcji w sposób łatwy dla każdego, anonimowy i bez połączenia z internetem.

Jak jednak pogodzić anonimowość ze zwalczaniem nadużyć, które są przez nią ułatwiane? To chyba jedno z poważniejszych wyzwań, przed którymi stanąłby cyfrowy złoty. Ale nie jest to sytuacja bez wyjścia. Można bowiem zaprojektować system w taki sposób, aby umożliwiał on dokonywanie niewielkich prywatnych transakcji w sposób w pełni anonimowy. One nie wiążą się z dużym ryzykiem nadużyć. Jednocześnie po przekroczeniu pewnego progu kwotowego konieczna byłaby pełna identyfikacja stron transakcji. Czy to rozwiązanie pozbawione wad? Zapewne nie. Ale może okazać się lepsze niż którakolwiek z alternatyw.

Cyfrowy pieniądź jest obecnie „na radarze” wielu banków centralnych na świecie. W paru państwach (Bahamy, Jamajka, Nigeria) to rozwiązanie już funkcjonuje. Narodowy Bank Polski również śledzi i analizuje rozwój tej koncepcji. W 2021 r. NBP wydał raport poświęcony potencjałowi cyfrowego złotego. Nasz bank centralny nie widzi przesłanek, aby wdrożyć to rozwiązanie tu i teraz. NBP monitoruje jednak postępy prac w zakresie

BANK KOMERCYJNY MOŻE ZBANKRUTOWAĆ, CO DLA CZĘŚCI POSIADACZY DEPOZYTÓW OZNACZA BEZPOWROTNA UTRATĘ PIENIĘDZY.

JAKO PRAWNY ŚRODEK PŁATNICZY POPARTY AUTORYTETEM PAŃSTWA GOTÓWKA JEST **NAJBEZPIECZNIEJSZYM** AKTYWEM FINANSOWYM.

pieniądza cyfrowego? W pracach nad koncepcją CBDC podkreśla się, że może on być elementem walki z wykluczeniem finansowym. Możliwe jest, aby posługiwały się nim osoby nieposiadające konta bankowego.

emisji CBDC na świecie oraz warunki, które skłaniałyby do wprowadzenia cyfrowego złotego. Dzięki temu, gdy zaistnieje taka potrzeba, cyfrowa waluta NBP będzie mogła w szybkim czasie wejść do obrotu. **S**

Dżentelmeni o pieniądzach (nie) rozmawiają



Fot. Adobe Stock

Mamy do czynienia z piramidalnym paradoksem. Albowiem we współczesnej humanistyce pieniądzwowi poświęcono **niewiele miejsca**. Temat, jak mi się wydaje, i niegodny, i – z wielu względów – nazbyt przyziemny. Zwykle zarezerwowany dla twardo stąpających po ziemi ekonomistów. Ponadto na ekonomiczne poletko zachodzą zazwyczaj myśliciele o marksistowskim rodowodzie. A z nimi jawią się materializmy bez czci i wiary. Pieniądz jest partykularny i osadzony w jednej sferze, tj. w ekonomii. Tak zazwyczaj uważają luminarze nauk humanistycznych.

| Marcin Darmas |

Socjologia, gdy rozprawia „o powszechnym ekwiwalencji”, wpada w pułapkę dychotomicznego układu społecznego, gdzie na jednym końcu są „wyzyskujący”, a na drugim „wyzyskiwani”. Raczą również taksonomicznymi wybiegami, aby o pieniądzu asekurancko nie powiedzieć za wiele. Mówią zatem o mierniku wartości podstawowych i wtórnych, obiektywnych i subiektywnych, trwałych i nietrwałych, ekonomicznych i afektywnych. W dalszym rozwoju socjologicznego wykładu znajdują się oczywistości szarpiące za mankiet o pozytywnym wpływie na jednostki (działania prospołeczne, altruistyczne) i wpływie negatywnym (egoistyczna akumulacja kapitału). Jak *hossa* – to prosperita. Jak *bessa* – to panika.

Ciekawsze od socjologicznych okazują się analizy psychologii społecznej, choćby te – w kontekście giełdowych spekulacji – o „samo-spełniających się przepowiedniach”. Jak pouczają, minorowe nastroje mają wpływ na zachowania i postawy ekonomiczne. Tak amerykańscy funkcjoniści tłumaczyli genealogię „czarnego czwartku” w 1929 roku: na wskaźniki ekonomiczne mają wpływ nie tylko obiektywne przesłanki, ale i nastroje mentalne.

Bogaci protestanci

Zapisał się w kronikach socjologii pieniądza Max Weber, który z rozumienia motywów działań jednostki społecznej uczynił najważniejsze zadanie nauk społecznych. Ludzie w nowoczesnych społeczeństwach, jak pisał autor „Gospodarki i społeczeństwa”, działają głównie „celowo-racjonalnie” i dążą do maksymalizacji swoich zysków. Ponadto kumulacja kapitału związana jest z dominacją protestanckich postaw: purytanie uznają za zbytek życie w przepychu, ba!, nawet za śmiertelny grzech, dlatego zamiast trwonić

pieniądze, zalecali oszczędzanie. Tak powstała, według Maxa Webera, formacja kapitalistyczna, rozlewając się na cały świat zachodni.

Niebywałe wprost bogactwo i intensywność myśli wyraził o pieniądzu socjolog, co prawda należący do ojców założycieli dyscypliny, lecz traktowany nieco po macoszemu przez socjologiczną brać. Widzą go bardziej anegdotycznie aniżeli serio. Być może dlatego, że Georg Simmel stronił od akademickich potyczek i nie cenił systemowego myślenia? Naukę bowiem uprawiał na opak, bez

W esejach składających się na zbiór „Most i drzwi” Simmel opisuje dynamiczne zmiany zachodzące w społeczeństwie wchodzącym na wierzchołek ówczesnych możliwości przemysłowych i technologicznych. Przykuwa uwagę esej „Wyprawy w Alpy” otwierający cykl. „W turystyce Szwajcarii obserwować można zmiany zachodzące wprawdzie od lat, ale dopiero w ostatnim dziesięcioleciu jednoznacznie dominujące jako tendencja” – inicjuje Simmel. Od razu przechodzi do sedna i antycypuje „inscenizowany auten-

LUDZIE W NOWOCZESNYCH SPOŁECZEŃSTWACH, JAK PISAŁ AUTOR „GOSPODARKI I SPOŁECZEŃSTWA”, DZIAŁAJĄ GŁÓWNIEM „CELOWO-RACJONALNIE” I DĄŻĄ DO MAKSYMALIZACJI SWOICH ZYSKÓW.

nadęcia *ex cathedra*. Przywiązywał ogromną wagę do stylu literackiego swoich rozpraw i esejów. Czuł się bardziej artystą niż socjologiem. Poruszał się często po obrzeżach dyscypliny. Interesował się modą, nowymi formami alpinizmu albo masową turystyką.

Często powtarzanym nadużyciem stało się traktowanie Georga Simmela, li tylko, jako epigona „interakcjonizmu symbolicznego”, autora słynnej cytacji o świecie społecznym jako zadzierzgającym się na nowo „pulsującym strumieniu”. Myśl Niemca błąkała się po grzbiecie różnych tradycji, kojarzy się to z „atomizmem”, to z „psychologizmem”, „formalizmem”, „irracyjalizmem”, „perspektywizmem”, „estetyzmem” i „impresjonizmem”.

tyzm” przeżycia przygody, konstatając postępującą „industrializację obcowania z naturą”. Kolej żelazna łącząca najważniejsze europejskie metropolie zaczęła przekuwać góry tam, gdzie zbyt strome stoki uniemożliwiały wspinaczkę ludziom bez alpinistycznego przygotowania, między innymi w Mürren i Wengernalp. Kolejka na Eiger w ciągu jednego dnia potrafiła zawieźć „na górę liczbę ludzi równą sumie wszystkich tych, którzy do tej pory zdołali się wspiąć na ten trudny szczyt”. „Teraz ubite i wydeptane trakty wabią każdego” – stwierdza Simmel. Dawniejsza niepewność związana ze wspinaczką, wąski krąg wtajemniczonych w jej sekrety, a późniejsze zaniechanie niebezpieczeństwa zapowiada umasowienie i sprzeciętnienie „przygody”. >

Pozornie tylko oddaliliśmy się od spraw związanych z pieniądzem. Według Simmla nowoczesność przekształca rzeczywistość, wprowadza ją w niespotykane od antyku przyspieszenie, przeobraża stosunki międzyludzkie – bez czynnika ryzyka nastaje nowy człowiek. Pieniądz istotnie przyczynia się do zmian. Jak zwraca uwagę Marta Bucholc: formalność pieniądza zapowiada erę pozbawioną „charakteru”, w której bezosobowość, bezjakościowość i absolutna nieustaloność pieniądza przekształca stosunki społeczne na własne podobieństwo.

Nowy gatunek

Choć Simmel był autorem badającym „fragmenty” rzeczywistości społecznej, niezwykle poważnie i – co tu dużo kryć – najbardziej systematycznie poświęcił swoje rozważania pieniądzu. A „Filozofię pieniądza” uważał za dzieło życia. Pieniądz „jest dlań soczewką, w której skupiają się najistotniejsze procesy życia społecznego od czasów najdawniejszych do współczesnych” – jak pisze w przedmowie do monografii Andrzej Przyłębski. I dodaje: „wkroczenie pieniądza na arenę dziejów oraz jego błyskotliwy rozwój odzwierciedla przemianę podstawowej interakcji społecznej, jaką jest wymiana, pierwotniejsza dla Simmla od produkcji”. Pieniądz zatem jest najwyraźniejszą realnością formuły ogólnego bytu, zgodnie z którą rzeczy odnajdują sens w sobie nawzajem, zaś wzajemność relacji, które je unoszą, tworzy ich byt i określoność.

Dostrzegać tu możemy paralelę z „totalnym faktem społecznym” wprowadzonym przez Marcela Maussa. W tej wizji stosunek do pieniądza odzwierciedla kondycję całego aktualnego społeczeństwa, skupia w sobie i wyraża wszystkie instytucje danego społeczeństwa: religijne,

prawne, moralne, i wytwarza efekty estetyczne i morfologiczne.

Simmel przekonywał, że relacje międzyludzkie pozostają w coraz większym stopniu zapośredniczone w sferze wartości materialnych. Pieniądz staje się bowiem „uniwersalną miarą”, przez pryzmat której postrzega się nie tylko wartość nabywanych towarów, ale także innych ludzi. W „Filozofii pieniądza” dużo uwagi poświęca temu, że świat społeczny, pozostając pod dominującym wpływem mechanizmów rynkowych, odznacza się stale rosnącą dynamiką. Jest zmienną,

okazuje się elementem „racjonalizującym” pragnienie podmiotu. Choć wydaje się elementem abstrakcyjnym, pieniądz urzeczywistnia również potencjał. Prosta ilustracja. Auto, będące obiektem pragnienia, uzmysławia klientowi „finansową drogę”, którą musi pokonać, aby auto to posiadać. Ilość gotówki w portfelu albo na koncie bankowym obiektywnie określa „dystans”: mityguje pragnienia, określa potencjał, może rozbudzić marzenia albo pogрузić. Oszczędności wprowadzają, według Simmla, człowieka w „rozkoszach nieużytku”. Znowu pieniądz posiada atrybut trzymania

PIENIĄDZ POSIADA ATRYBUT TRZYMANIA NA WODZY LUDZKICH PRAGNIEŃ. PONADTO SKRACA DYSTANS Z PRZYSZŁYMI POKOLENIAMI, DLA KTÓRYCH OSZCZĘDZAMY, ŁĄCZY TERAŹNIEJSZOŚĆ Z PRZYSZŁOŚCIĄ.

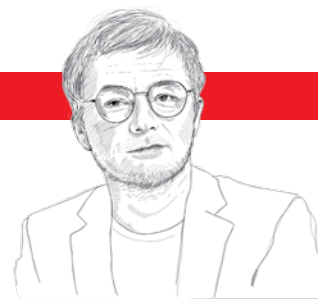
płynną, a przy tym bardzo złożoną siecią relacji, która oplata stopniowo cały świat. Co więcej, przekonywał, że ona w miarę upływu czasu zawłaszcza, czy też włącza w swoją logikę, wszelkie obszary ludzkiej aktywności.

Współczesne relacje – pisze Simmel – wyróżniają się osobliwym wprowadzaniem i dezaktywowaniem podmiotów społecznych poprzez „pragnienie”. Krótko rzecz ujmując, z jednej strony istnieje „obiekt”, z drugiej „podmiot”. Dwa bieguny oddzielone są przez „dystans”. „Podmiot” podejmuje działanie, aby zbliżyć się do „obiektu”, a wprowadzony jest w ruch poprzez „pragnienie”. Jego, by tak rzec, „paliwem” jest właśnie pieniądz. W tej optyce pieniądz

na wodzy ludzkich pragnień. Ponadto skraca dystans z przyszłymi pokoleniami, dla których oszczędzamy, łączy teraźniejszość z przyszłością.

Simmel okazał się pod wieloma względami kasandryczny. Przewidział nastanie czasów „uprzemysłowionej turystyki”, wyjałowionej osobowości ludzkiej pozbawionej czynnika ryzyka, przeobrażenie stosunków międzyludzkich w oparciu o tryumf gotówki. Co by powiedział na jeszcze większe uabstrakcyjnienie pieniądza? Na pomysły transakcji bezgotówkowych? Z pewnością widziałby w tych staraniach próbę wyklucia nie tylko nowych form więzi międzyludzkich, lecz przede wszystkim – nastania kolejnego gatunku ludzkiego. **S**

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Jan Wróbel

Teraz będzie zupełnie inaczej

Nie wchodzę w te kwestie – deklaruje Tomasz Stawiszyński w ostatnim „Tygodniku Powszechnym”, pisząc o polityce imigracyjnej Donalda Tuska – „idzie mi wyłącznie o tę gwałtowną zmianę kursu po wyborach. A w szczególności, o zmianę niepolegającą na odejściu od strategii poprzedników – których się wcześniej za nią intensywnie krytykowało – lecz na jej dodatkowym zaostrzeniu”. Z przekąsem Stawiszyński puentuje: „Cóż, chciałoby się powiedzieć, że w październiku 2024 r. skończyła się polaryzacja”. Starsi pamiętają – trawestacja sławnych słów Joanny Szczepkowskiej...

A może przekąsu wcale w tych słowach nie ma? Mogłem go sobie wymyślić. Sam od tego środka stylizycznego nie stroniąc, pomyślałem, że Stawiszyński to jakby taki wróbel, tylko fruwa z innej strony parku? Może tak naprawdę to autor „Tygodnika” pisze do swoich (?) terapeutycznie i na serio. Stara się oswoić Ludzi Z Elektoratu Obywatelskiego z myślą, że zrobili z siebie głupków. Nie, nie przez to, że głosowali na KO. Z partiami politycznymi jest jak z robotem wielofunkcyjnym, niespecjalnie jesteśmy pewni, w czym okaże się po zakupach dobry, a w czym beznadziejny. Gwarancji nie dają... W razie czego musimy po-

czekać na wyprzedzą organizowaną zwykle co cztery lata. Krótko zatem: wybierając KO, wybrałeś dobrze albo źle; się zobaczy. Natomiast jeżeli wybierałeś z myślą, że „teraz będzie zupełnie inaczej”, że świat się odmieni, i to akurat w ten sposób, który ci się podoba... No, niestety, w takim przypadku zaliczyłeś tak zwaną wtopkę. Trzeba się było nie nabierać na dyskurs narzucony przez media i polityków, dyskurs walki Dobra ze Złem, Drużyny Pierścienia z Mordorem.

lepiej zwariować i dać się zaczadzić niż odwrotnie. Lepiej zanurzyć się w świecie nieufności, moralnego chaosu i krzykliwej nagonki – i mieć z głowy. Kto robi inaczej, zyska wrogów, straci przyjaciół. Albo, po prostu, zubożenie na Polskę; słaby wybór.

Stawiszyński uważa, że ogłoszenie założeń polityki migracyjnej stanowić będzie „niewątpliwie moment zwrotny”. W znaczeniu: ludzie przestaną się nabierać. Skoro PO robi na granicy to, co PiS, to powszechnie

STAWISZYŃSKI UWAŻA, ŻE OGŁOSZENIE ZAŁOŻEŃ POLITYKI MIGRACYJNEJ STANOWIĆ BĘDZIE „NIEWĄTPLIWIE MOMENT ZWROTNY”. W ZNACZENIU: LUDZIE PRZESTANĄ SIĘ NABIERAĆ. E TAM...

Warto wskazać, że elektorat Zjednoczonej Prawicy swoje przeszedł – jeżeli ktoś głosował w 2015 r., wierząc, że nadeszła wspaniała zmiana i odtąd sądy będą żwawo i rozsądnie sądzić, media publiczne głosić prawdę, szkoły uczyć, a politycy organizować życie publiczne według zasad katolickiej nauki społecznej – to się wygłupił. I cóż z tym zrobić? Głosował dalej. Droga przebyta przez pisowców jedno wskazuje obecnym zwolennikom PO, tym niezwarowanym i zaczadczonym:

uda nam się zrozumieć, że politycy przede wszystkim zajmują się rozniecaniem płaskich emocji narodu i zarządzaniem nimi. Cóż, myślę, że żadnego punktu zwrotnego nie będzie. Po prostu kto głosował, dalej będzie głosował na własnych mistrzów rozniecania niskich instynktów. Niektórzy będą głosować bez przyjemności. Inni zduszą w sobie rozterki i polubią niskie instynkty. Dopóki nie zobaczą, że coś pęka w elektoracie pisowskim, sami pękać nie będą. Nie zobaczą i nie pękną. **S**

Narracja o ściganiu przestępców legła W GRUZACH

Miało być rozliczanie przestępców z PiS, a skończyło się na relacji dwóch delikatnych kobiet, przeciw którym **państwo użyło całej swojej siły**, by je złamać i zmusić do uległości. Jednak Urszula Dubejko i Karolina Kucharska wyszły zwycięsko ze zderzenia z państwem walczącym demokracji.

| Mariusz Staniszewski |



Fot. Adam Chelstowski / Forum

Nerwowość, w jaką wpadła ekipa Donalda Tuska czy może raczej polityczno-medialny holding, którego premier jest reprezentantem, pokazuje wagę wyjścia na wolność ks. Michała Olszewskiego oraz dwóch byłych urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości. Aby zamazać obraz porażki oraz opre-

syjności obecnej władzy, rządowi propagandyści sięgnęli po najcięższe środki, które zarezerwowane są do sytuacji absolutnie kryzysowych: katastrofa smoleńska i rosyjskie wpływy w Polsce. W obu tych sprawach suflowanych w ostatnich dniach głównym czarnym charakterem ma być Antoni Macierewicz,

czyli najbardziej chyba nie lubiany polityk PiS.

Choć obie sprawy są dęte i trudno znaleźć w przedstawionych wnioskach jakieś skandaliczne zaniedbania, to jednak najistotniejszy jest szum medialny, który ma pozwolić wyborcy zapomnieć o dwóch udręczonych, poniewieranych i szykano-

wanych kobietach. Im bardziej spin doktorzy Platformy Obywatelskiej starają się odciągnąć uwagę opinii publicznej od trzech wypuszczonych z aresztu osób, tym mocniej widać, że mamy do czynienia z politycznym przełomem.

Zwycięskie twarze

Do tej pory oficjalny przekaz był jasny: rząd Platformy Obywatelskiej rozlicza nadużycia poprzedniej władzy, która zdemoralizowana długim „siedzeniem przy korycie” trwoniła publiczny pieniądz. Do aresztu trafiły najpierw trzy osoby, które ustawiły konkurs i zapewniły swoim znajomym wielkie granty. Te zaś były wykorzystywane niezgodnie z przeznaczeniem. Za nimi za kratki mieli iść następni.

Liberalno-lewicowe media nie zostawiały na aresztowanych suchej nitki, drwiąc z księdza-egzorcysty i anonimowych urzędniczek. Informacje o ich nieludzkim traktowaniu nie wychodziły w zasadzie poza konserwatywną bańkę informacyjną, a jeśli nawet jakieś szczątkowe doniesienia docierały do wyborców obecnej koalicji, to kwitowane były stwierdzeniem: areszt to nie sanatorium. Wiadomo – skoro kradły publiczne pieniądze, to niech teraz cierpią.

Ta opowieść załamała się w poprzedni piątek, gdy obie kobiety opuściły mury warszawskiego aresztu. Nie zobaczyliśmy cynicznych, zdemoralizowanych i cwanych funkcjonariuszek zepsutego systemu, ale skromne, delikatne kobiety, które ze spokojem, bez nienawiści i chęci odwetu opowiadały o tym, że były traktowane jak najgroźniejsi przestępcy. Spotkały je szykany, które nawet twardego mężczyznę mogły doprowadzić do załamania. Ale one nie pękły, bo siły dodawała im wiara.

Cała Polska mogła zobaczyć, przeciwko komu została skierowa-

na cała moc państwowego aparatu przymusu. Przysłowie „strzelać z armaty do wróbla” nasuwa się samo, ale tu chodziło o coś więcej. Te dwie skromne kobiety – Urszula Dubejko i Karolina Kucharska – nie uległy. Zdołały oprzeć się tej bezwzględnej machinie. To one wyszły z tego starcia zwycięsko.

Zmiana nastrojów

Jednego dnia okazało się, że ci groźni przestępcy, których ekipa Donalda Tuska i Adama Bodnara zamknęła w areszcie, to ludzie nie tylko sympatyczni, ale też godni szacunku. Ksiądz na razie milczy, ale dwie uwolnione kobiety opowiadające o kolejnych poniżających sytuacjach, jakie zafundowała im władza, wzbudzały głębokie współczucie. Większość oglądających je w telewizji musiała dojść do prze-

Dodatkową fatalną informacją dla rządu był fakt, że w dniu wyjścia całej trójki z aresztu relacjonująca to Telewizja Republika zanotowała rekordową oglądalność. W czasie emisji rozmów z paniami Urszulą i Karoliną na stację tę przełączyli się nawet widzowie prorządowej TVN24. Relacja dwóch kobiet przebiła więc informacyjną bańkę i trafiła do osób, które zwykle nie mają nawet styczności z informacjami niekorzystnymi dla rządu Tuska.

Zakładniczki władzy

Rzeczywisty przełom nastąpił jednak kilka dni wcześniej. Nieświadomie spowodował go dziennikarski „cyngiel” obecnej władzy, czyli Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”. W piśmie tym napisał haniebną, ale jednocześnie za-

KSIĄDZ I DWIE URZĘDNICZKI NIE BYLI REALNYM CELEM PROKURATORÓW ADAMA BODNARA. CHODZIŁO O TO, BY PRZEZ TĘ TRÓJKĘ **DOPAŚĆ** POLITYKÓW PIS.

konania, że te dwie panie w żaden sposób nie zasłużyły na to, co je spotkało. Co więcej, stały się przypadkowymi ofiarami brudnej, politycznej gry, w której nie chodziło ani o prawdę, ani o sprawiedliwość, ani o złapanie winnych.

Zyskując sympatię widzów, odwróciły społeczne nastroje. Widzowie – oczywiście ci myślący, a nie kierujący się jedynie nienawiścią do PiS i Jarosława Kaczyńskiego – przestali postrzegać je jako oszustki, a zaczęli patrzeć na nie jak na osoby skrzywdzone.

dziwiająco szczery artykuł, który wprost wyjaśniał, że ksiądz i dwie urzędniczki nie są realnym celem prokuratorów Adama Bodnara. Chodzi o to, by przez tę trójkę dopaść polityków PiS. Urzędniczki i ksiądz mogą więc – pisał Czuchnowski – w każdej chwili opuścić areszt, jeśli tylko posłowie Prawa i Sprawiedliwości przyznają się do winy albo wsypią ich aresztowani.

Czuchnowski słynący z bliskich kontaktów z obecną władzą pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że właśnie opisał kwintesencję

patologii obecnej ekipy. Zamknięty w kręgu tak samo myślących, w którym wsadzenie do więzienia możliwe największej liczby pisowców jest oczywistością, a cel uświata środki, nie dostrzegł, jak głęboko brodzi w bagnie. Opisując bez refleksji mechanizm aresztu wydobywczego, w dwuznacznej sytuacji postawił sędziów.

Do tej pory podobne analizy pojawiały się jedynie w prasie konserwatywnej. Nie miały więc znaczenia dla większości warszawskich sędziów, niechętnych poprzedniemu rządowi. Gdy jednak sprawę opisała „Wyborcza”, nie można już było przejść nad tym do porządku dziennego. Nieuchylenie aresztu

na kapłana, zarzucając mu defraudowanie pieniędzy. Był to już jednak raczej akt rozpacz, gdyż nawet sprzyjający władzy dziennikarze i komentatorzy uznali, że zarzuty są słabe. Dodatkowo prokuratura ujawniła dziennikarzom dokumenty, do których dostępu nie mieli obrońcy podejrzanych. Blamaż tylko przybierał na sile.

Utrata wiarygodności

Relacja uwolnionych urzędników poza ciosem w wizerunek rządu będzie miała jeszcze jeden zasadniczy, długofalowy skutek. Akcja rozliczania PiS straciła na wiarygodności. W momencie, gdy dwie skromne kobiety traktuje się jak gangsterów

niemoc, niezdolność do realizowania własnych celów. No i oczywiście słabość – niewybaczalną dla prymitywnej władzy ułomność.

Dwie urzędniczki udowodniły, że do pokonania tej władzy, jej bezprawia i buty, wystarczy zachowanie godności, modlitwa i hart ducha. Siłą dla nich było wsparcie zwykłych ludzi, którzy przychodzili pod areszt i odmawiali Różaniec.

Donald Tusk, jak zresztą każdy polityk, któremu demokracja przeszkadza, nie docenił indywidualnej siły człowieka. Był przekonany, że mając do dyspozycji cały aparat przymusu, może sterroryzować wszystkich. Tak się nie stało, cios zadały mu dwie niepozorne kobiety, co zresztą musi być dla niego wyjątkowo bolesne.

DONALD TUSK, JAK ZRESZTĄ KAŻDY POLITYK, KTÓREMU DEMOKRACJA PRZESZKADZA, NIE DOCENIŁ INDYWIDUALNEJ SIŁY CZŁOWIEKA.

udowadniałoby, że sędziowie otwarcie uczestniczą w łamaniu prawa i praworządności, a co gorsza – są jawnie dyspozycyjni wobec Adama Bodnara i Donalda Tuska. Tego było za wiele nawet dla nich.

Wyznaczenie ekstremalnie wysokich kaucji miało być dla sądu salomonowym wyjściem, gdyż liczył, że dwie skromne kobiety nie uzbierają szybko takich pieniędzy – trzysta pięćdziesiąt tysięcy każda. Ale i tu popełniono błąd. Mobilizacja społeczna okazała się ogromna.

Było oczywiste, że wypuszczenie księdza Olszewskiego i urzędników nie zakończy sprawy. Próbuując naprawić swój błąd, „Gazeta Wyborcza” przeprowadziła kolejny atak

z Pruszkowa czy Wołomina, widać, że nie chodzi o prawdę, ale o spektakl. Igrzyska, które mają hodować nienawiść do PiS, utrzymywać emocje na wysokim poziomie oraz odciągać uwagę od realnych problemów w kraju.

Próba odhumanizowania każdego następnego zatrzymanego przez prokuraturę Bodnara „pisowskiego przestępcy” nie będzie już tak łatwa. Trudniej będzie także poddawać go tak brutalnej obróbce przez policję i służby specjalne.

Dla reżimów ograniczających prawa obywateli, marzących o dyktaturze – nawet względnie łagodnej – porażka ze zwykłym poddanym jest wyjątkowo dotkliwa. Pokazuje

Wstyd w tym uczestniczyć

Pokazanie twarzy zakładniczek Tuska i Bodnara miało jeszcze jeden, trudny dziś do oceny wymiar. Funkcjonariusze obecnej władzy, nawet ci bardzo zagorzali, muszą teraz odpowiadać na pytania rodzin, znajomych czy sąsiadów. Muszą tłumaczyć, dlaczego uczestniczyli w tym haniebnym widowisku, w którym skrzywdzone zostały osoby przypadkowe. Dlaczego przyłożyli do tego rękę.

Pozornie wydaje się to mało istotne, ale ci ludzie nie mieszkają na bezludnych wyspach. Ich dzieci chodzą do szkół, a małżonkowie do pracy. Wszędzie tam toczą się dyskusje i padają pytania o ofiary bezprawia, które przeszły przez piekło. Presja społeczna wywierana jest każdego dnia.

Z tego samego muszą się tłumaczyć także liderzy obecnej koalicji. Nawet jeśli przed mediami udają twardzieli, to już zawsze będą mieli przed oczami umęczone, ale spokojne twarze Urszuli Dubejko i Karoliny Kucharskiej. **S**



Karol Gac

Szukając kandydata

Prawo i Sprawiedliwość wciąż poszukuje swojego idealnego kandydata na prezydenta. Tyle tylko, że bazując na medialnych przeciekach, można odnieść wrażenie, iż największa partia opozycyjna miota się w tej sprawie od ściany do ściany.

Po kilku tygodniach ożywionej dyskusji PiS oficjalnie ogłosiło, że w partii nie odbędą się prawyborcy, które miałyby wskazać kandydata, o czym wcześniej spekulowały media. Rzecznik PiS Rafał Bochenek poinformował, że decyzja zapadła po uwzględnieniu wszystkich „plusów” i „minusów”, a także „z uwagi na napięty kalendarz nadchodzących tygodni” oraz „kwestie organizacyjne”. Nic dziwnego, czasu bowiem coraz mniej.

Początkowo PiS planowało zaprezentować swojego kandydata 11 listopada, w Narodowe Święto Niepodległości, nawiązując tym samym do kampanii Andrzeja Dudy. Czy termin zostanie dotrzymany? Przekonamy się już niedługo. Jednak nawet jeśli nie, to i tak zapewne usłyszymy, że nie był on przecież oficjalny. Problem w tym, co pokazał temat ewentualnych prawyborów, że wszystkie pomysły i dyskusje kierownictwa niemal natychmiast przeciekają do mediów, co tylko pogłębia wrażenie chaosu w PiS i braku spójnej koncepcji. Zwłaszcza, jeśli zbierzemy je wszystkie z ostatnich tygodni i miesięcy. Okaże się wówczas, że rozważano już chyba wszystko.

Oczywiście, przyszłoroczne wybory prezydenckie będą dla PiS szczególnie trudne. Po pierwsze dlatego, że

rok temu oddało władzę. Po drugie, że – przynajmniej teoretycznie – żaden z kandydatów nie jest naturalnym pewniakiem, a 2025 rok to nie 2015. Po trzecie, nie wiadomo, jak będzie z finansami samej partii. Wreszcie po czwarte, na to wszystko nakładają się wewnętrzne tarcia i animozje. Jeśli dołożymy do tego całą wielopiętrową układankę oraz prawdziwą sieć zależności, to nie może dziwić, że przed Jarosławem Kaczyńskim trudna decyzja.

To, co na ten moment wiadomo, to właściwie tylko tyle, co zakomunikował Mateusz Morawiecki, a więc fakt, że PiS zleciło kolejne badania sondażowe i daje sobie dodatkowe dwa-trzy tygodnie na wybór kandydata. Nie bez znaczenia są tutaj zapewne także wybory w Stanach Zjednoczonych, które rozstrzygną się lada moment. Jeśli jednak porównamy to z sytuacją w Koalicji Obywatelskiej, to nawet uwzględniając medialne spekulacje dotyczące jej kandydata, sytuacja w największej partii opozycyjnej przedstawia się gorzej. Inna rzecz, co trzeba uczciwie zaznaczyć, że to i tak tylko przedsmak prawdziwej kampanii, bo ta dopiero się zacznie, a i czas będzie tu pewnie bardziej łaskawy dla kandydata PiS.

Na koniec apel: 11 listopada spotkajmy się o godz. 14.00 na rondzie Dmowskiego na tegorocznym Marszu Niepodległości. Kto może, niech przybywa! „Wielkiej Polski moc to MY”. 

„Dobro zwyciężyło!”. Jan Karandziej zakończył 12-dniową głodówkę

– Kiedy dowiedziałem się, że ks. Michał Olszewski i panie Urszula oraz Karolina wychodzą na wolność, towarzyszyło mi poczucie **ogromnej radości** i wdzięczności wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że nasz protest miał sens i odniósł właściwy skutek – powiedział wzruszony Jan Karandziej w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność”.

Agnieszka Żurek



Protestujący w Lublinie
dziękują za wsparcie

Wierzę, że stało się to za sprawą ingerencji Matki Bożej z Jasnej Góry, której zawierzyliśmy swój protest.

Dziękuję przede wszystkim Bożej Opatrzności, bo my byliśmy tylko Jej małymi narzędziami. Dziękuję wszystkim, którzy nas tak licznie

wspierali modlitewnie, duchowo, emocjonalnie i fizycznie. Dziękuję Waszej redakcji, bo byliście najwierniejsi i nagłaśnialiście nasze działania – dodał.

Węgrzy piszą o polskiej głodówce

Działacz podziemnej Solidarności Jan Karandziej 14 października podjął protest głodowy w obronie uwięzionego ks. Michała Olszewskiego i dwóch pań urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości. Wytrwał w swoim postanowieniu do końca, tj. do momentu zwolnienia kapłana z aresztu wydobywczego. – To był areszt wydobywczy, bo Wasze modlitwy mnie z niego wydobyły – stwierdził po wyjściu na wolność duszpasterz, wyrażając wdzięczność wszystkim, którzy wspierali go podczas ponad półrocznego okresu uwięzienia.

O sprawie ks. Olszewskiego napisał m.in. węgierski portal Magyar Jelen. „Antykomunista w Polsce rozpoczyna strajk głodowy” – brzmiał jeden ze śródtytułów artykułu. „Jan Karandziej, uczestnik polskiego ruchu oporu antykomunistycznego przed zmianą reżimu w 1989 r., rozpoczął 14 października 2024 r. strajk głodowy w proteście przeciwko przetrzymywaniu katolickiego księdza Michała Olszewskiego przez władze w areszcie ze względów politycznych. Jan Karandziej prowadzi akcję protestacyjną w siedzibie

Fot. archiwum J. Karandzieja

regionalnej największego polskiego związku zawodowego Solidarność w Częstochowie” – podał węgierski portal. W artykule zacytowano wypowiedź Jana Karandzieja dla „TS”. „W rozmowie z portalem informacyjnym «Tygodnika Solidarność» Karandziej powiedział, że protestuje w tym samym duchu, w jakim walczył o wolność swojego kraju w czasach komunizmu. Potwierdził: powodem protestu był pogarszający się stan zdrowia Michała Olszewskiego oraz to, że jego zdaniem ksiądz jest traktowany niesprawiedliwie. 69-latek powiedział: będzie protestował tak długo, jak pozwoli mu na to zdrowie, ale przynajmniej przez dziesięć dni. Wyraził nadzieję, że ksiądz zostanie wcześniej zwolniony” – podano w tekście.

Węgrzy przypomnieli, że podjęty przez Karandzieja strajk głodowy nie był pierwszym w życiu opozycjonisty. Wyrazili wdzięczność za zaangażowanie działacza Solidarności w głodówkę w obronie znanego węgierskiego działacza niepodległościowego w okresie komunistycznego zniewolenia. „Jan Karandziej był jednym z założycieli Morskiego Wolnego Związku Zawodowego (WZZW), uznawanego za prekursora Solidarności. W czasie stanu wojennego 1981 roku został internowany. W 1980 roku w Podkowie Leśnej pod Warszawą brał udział w strajku głodowym zorganizowanym wówczas na rzecz uwolnienia więźniów politycznych, wśród których był legendarny węgierski członek opozycji antykomunistycznej Tibor Pákh” – przypomniał węgierski serwis.

Portal Mayar jelen nakreślił kontekst uwięzienia ks. Olszewskiego, uznając jego zatrzymanie za działanie polityczne. Autorzy tekstu podkreślili również, iż siedmiu znanych polskich intelektualistów,

w tym pisarze Antoni Libera i Bronisław Wildstein, napisało w liście otwartym o „komunistycznych praktykach kryminalizacji przeciwników politycznych i wymuszania zeznań” w związku ze sprawą, a największa polska organizacja dziennikarska, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP), wezwwała do natychmiastowego uwolnienia Michała Olszewskiego i zażądała upublicznienia dotyczących go rozpraw prowadzonych dotychczas za zamkniętymi drzwiami.

„Jak wielką siłę ma prawda”

Głodówkę w obrobie ks. Olszewskiego najdłużej, bo 12 dni, prowadził Jan Karandziej, jednak podczas protestu dołączali do niego kolejni działacze Solidarności. Dziesięć dni głodował zasłużony organizator strajku kolejarzy w lipcu 1980 roku – Stanisław Oroń. Po kilku dniach dołączyli do niego w Lublinie Waldemar Drewniak, Piotr Gawryszczak i Lech Ciężki. Głodujących opozycjonistów odwiedzali działacze Solidarności.

„Pragnę podziękować Wszystkim, którzy nas wpierali. Najpierw Rodzinie – bo to najbliżsi zawsze płacą najwięcej za nasze działania, ale zaraz po tym moim opiekunom z częstochowskiej Solidarności. Szczególnie p. przewodniczącemu Jackowi Strączyńskiemu, bo bez jego odważnej decyzji na «tak», nie byłoby zapewne tego protestu. Dzięki jego otwartości i zrozumieniu miałem poczucie bezpieczeństwa i niemal rodzinną atmosferę. Za co teraz wypowiadam słowa podziękowania,

a wdzięczność w sercu pozostawiam na zawsze. Pani Annie Rakocz, szefowej Stowarzyszenia WIR [Stowarzyszenia Więzionych, Internowanych i Represjonowanych WIR – przyp. red.], która była koordynatorem protestu na miejscu, i p. Annie Dąbrowskiej, mojej rzecznik prasowej. Dziękuję również wszystkim pozostałym, niezwykle sympatycznym i pomocnym członkom «załogi» Solidarności, podkreślając zwłaszcza moją wdzięczność za tolerancję dla mnie, który na chwilę «wprowadził się» do miejsca ich pracy. Wszyst-

kim i każdemu z osobna dziękuję za wszelkie słowa poparcia, ofiarowane modlitwy, podziękowania i wyrazy solidarności. Tym, którzy dzwonili, esemesowali czy pisali maile. Tym, którzy podpisywali listy poparcia

Podjęty przez
Jana Karandzieja
strajk głodowy
nie był pierwszym
w życiu
opozycjonisty.

czy apele w naszej wspólnej trosce o aresztowanych. I choć szczególnie miłe były bezpośrednie kontakty i rozmowy, za wszystkie dziękuję tak samo. Chciałem też tą drogą wyrazić swoją wdzięczność wszystkim zaangażowanym w przekazywanie informacji na temat protestu. Przedstawicielom mediów – bo bez Waszej pracy nie byłibyśmy w swoim proteście tacy skuteczni. W tym, że dobro zwyciężyło i że wreszcie ks. Olszewski i obie Panie wyjdą na wolność, macie Państwo również swoją zasługę, co tylko potwierdza, jaką wielką siłę ma prawda i szerokie jej propagowanie. Serdeczne Wam wszystkim Bóg zapłać!” – napisał opozycjonista w oświadczeniu po zakończeniu głodówki. **S**

Kampania na ostrzu noża

Kampania prezydencka w Polsce ruszy na dobre na początku 2025 roku, ale już dziś budzi silne emocje. Główne partie, mobilizując elektorat, wskazują na **wysoką stawkę gry** o prezydenturę.

| Stanisław Żaryn |

Koalicja Obywatelska od wielu miesięcy przekonuje, że jej kandydatem na prezydenta będzie Rafał Trzaskowski. Ten polityk walczył już o prezydenturę w 2020 roku, a dziś jest jednym z liderów środowisk rządzących. Trzaskowski sam siebie prezentuje jako pretendenta do ważniejszych stanowisk niż gospodarz stolicy. Donald Tusk sugerował zaś wielokrotnie, że to właśnie Trzaskowski powinien być prezydentem Polski, ponieważ wybory w 2020 roku zostały mu niemal „skradzione”. Naturalne więc wydawałoby się, że Trzaskowski powalczy o prezydenturę również w 2025 roku.



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

On sam chyba w to wierzy, w ostatnim czasie bowiem trwa jego objazd po Polsce, który trudno powiązać z funkcją prezydenta Warszawy. Opowieści polityków rządzących wskazywały, że KO postawi na Trzaskowskiego. To jednak wcale nie jest dziś takie pewne. Wbrew oficjalnej wersji pozycja Trzaskowskiego nie jest tak silna, a tajemnicą poliszynela jest wręcz wrogość Tuska wobec niego. Wygląda więc na to, że okres walki pod dywanem i ścierania się różnych kandydatów w samej KO wchodzi w gorącą fazę. Widać to zresztą. Do gry już jakiś czas temu ruszył Radosław Sikorski, który – wraz z żoną – prowadzi kampanię autopromocji. Sikorski próbuje się prezentować jako główny jastrząb antyrosyjskiej polityki, a jego żona mocniej angażuje się w przekaz do polskiej opinii publicznej. Sikorski ewidentnie włączył się do gry o nominację. I może być dla Trzaskowskiego poważnym rywalem. To z kolei bardzo dobra sytuacja dla Tuska, ponieważ wybór Trzaskowskiego dla premiera jest ostatecznością. On sam zresztą – jak się zdaje – nie porzucił marzeń o starcie. Walka Sikorskiego o nominację jest więc dla Tuska optymalna. Ma alternatywę wobec Trzaskowskiego, a gdyby konflikt był zbyt silny – może ogłosić własny start, by „pogodzić” dwóch rywalizujących konkurentów.

Patrząc z tej perspektywy, piłkę Tuskowi wystawił Władysław Kosiniak-Kamysz, który zaapelował ostatnio do środowiska rządowego o wspólnego kandydata na prezydenta. Stało się to już wtedy, gdy ugrupowania koalicyjne zapowiedziały, że będą chciały mieć swoich kandydatów. Dość szybko lidera PSL zgasił Tusk, wskazując, że w pierwszej turze każde ugrupowanie powinno mieć swojego kandydata. Jednak nie oznacza to, że do odezwę Kosiniaka-Kamysza nie można będzie wrócić, jeśli sam premier chciałby powalczyć o prezydenturę. Lider PSL swoim pomysłem na pierwszy rzut oka

zaryzykował, jego słowa wzbudzić musiały poważne wątpliwości w PSL. O co więc chodzi? Wydaje się, że wrzutka lidera ludowców to skutek jego obawy o wynik wyborów i możliwe następstwa. Jeśli kandydat PSL, np. lider Władysław Kosiniak-Kamysz, skompromitowałby się niskim wynikiem, to wizja odwołania i zmian w partii może być bardzo realna. To ogromne zagrożenie dla Kosiniaka-Kamysza, który coraz mocniej jest atakowany w swojej partii za przykładanie ręki do rządów mocno odbiegających od celów i programu PSL. Lider ludowców być może więc ucieka spod politycznego topora, mając nadzieję, że wspólny kandydat będzie wygodnym unikiem i pozwoli zachować stabilność w partii. W ogóle o stabilność układu rządowego będą te wybory.

główne założenie dotyczące także wyborów prezydenckich. To już obecnie oznacza napinanie emocji związanych z wyborami. Partie rządzące starają się podtrzymać mobilizację w elektoracie, licząc na powtórzenie mechanizmów widocznych w kampanii w 2023 roku.

Dziś jednak będzie to dla nich trudne. Po roku funkcjonowania rząd Donalda Tuska ma bardzo słabe notowania. Większość Polaków ocenia źle i rząd, i samego premiera. Dodatkowo sondaże partyjne wskazują na brak wzrostu poparcia typowego dla partii obejmującej władzę. Coraz powszechniejsze jest poczucie rozczarowania oraz straty czasu i szans, co będzie rzutowało na popularność kandydata na prezydenta z ramienia partii rządzących. Premier i jego zaplecze są tego świadomi, więc dodatkowo próbują

WIĘKSZOŚĆ POLAKÓW OCENIA ŹLE I RZĄD, I SAMEGO PREMIERA. DODATKOWO SONDAŻE PARTYJNE WSKAZUJĄ NA **BRAK WZROSTU** POPARCIA TYPOWEGO DLA PARTII OBEJMUJĄCEJ WŁADZĘ.

Grzegorz Schetyna wskazał jakiś czas temu, że wybory prezydenckie będą bardzo ważne, ponieważ „pozwolą domknąć system”. W podobny sposób mówił wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk, wskazując, że głównym celem strony rządowej będzie wybór kandydata, który pozwoli ostatecznie pokonać PiS. Do dziś głównym spoiwem obecnej władzy jest właśnie niechęć do poprzedniego rządu oraz chęć ostatecznego pokonania, a może nawet i zniszczenia, PiS-u. Ten cel rządzący formułują jednoznacznie jako

podkreślać emocje. Rząd tłumaczy, że to od wyniku wyborów zależeć będzie, czy uda się „obronić i przywrócić w Polsce demokrację”. Rządzący wielokrotnie wskazywali, że prezydent Andrzej Duda jest rzekomo hamulcowym i blokuje dobre reformy, więc z nimi trzeba czekać na nowego prezydenta. Rządzący tłumaczą się w ten sposób ze swojej nieskuteczności i uzasadniają ataki polityczne na prezydenta RP, ale jednocześnie budują napięcia związane z wyborami. Wygląda na to, że będą stawiać na ostrzu noża sprawę wygranej. ➤

Już dziś można odczuć emocje, które będą narastały i będą napędzane w przyszłym roku. O ile bowiem po stronie rządowej widać niejasność i niepewność ws. kandydatów i głównie go pretendenta do prezydentury, o tyle pewne jest jedno – bez bardzo silnej mobilizacji rządzący nie będą w stanie powalczyć o prezydenturę. To zwiastuje gorącą, a w części wręcz agresywną, kampanię.

Emocji nie brakuje także po stronie głównego konkurenta politycznego obecnego rządu, czyli Prawa i Sprawiedliwości. Politycy PiS także wskazują

dyskusja, czy należy stawiać na nowe twarze, ludzi nieobciążonych tak mocno rządami PiS, którzy dodatkowo mają szansę zdobyć elektorat poza osobami przekonanymi, czy też wręcz odwrotnie – znaleźć kogoś mocno osadzonego w partii i popularnego w jej szeregach. Obecnie wśród potencjalnych kandydatów wymienia się Przemysława Czarńka, Mateusza Morawieckiego, Mariusza Błaszczaka, Tobiasza Bocheńskiego, Marcina Przydacza oraz Karola Nawrockiego. Każdy z nich, jak się zdaje, może otrzymać szansę walki o prezydenturę. Dziś jednak trudno

WBREW OFICJALNEJ WERSJI POZYCJA TRZASKOWSKIEGO NIE JEST SILNA, A **TAJEMNICĄ POLISZYNELA** JEST WRĘCZ WROGOŚĆ TUSKA WOBEC NIEGO.

na stawkę wyborów. Chyba najczytelniej zaprezentował to Przemysław Czarnek, mówiąc, że po przegranych przez obecną koalicję wyborach PiS ma plan doprowadzenia do przejęcia władzy w Polsce. Słusznie PiS zakłada, że przegrana przez KO w wyborach może być przełomem i szybko doprowadzić do dekompozycji obecnego rządu. Napiecia i rozchwanie układu rządowego widać już bowiem dziś. Przegrana będzie ten proces stymulować, co jest dla wszystkich jasne. Stawianie tej sprawy w ten sposób przez polityków PiS również ma na celu mobilizację i wskazanie na stawkę wyborów. Będzie to skutkowało silnymi emocjami już na etapie prekampanii. A ta w przypadku PiS wciąż pozostawia bardzo dużo pytań, na które nie ma odpowiedzi. Do dziś nie wiadomo, kto może zostać kandydatem partii na prezydenta. Co więcej, nie bardzo wiadomo nawet, na jaką taktykę PiS się zdecyduje. W partii trwa

przesądzać, na kogo partia postawi. Mówienie i spekulacje na ten temat były do tej pory dla PiS korzystne (opinia publiczna koncentrowała się na tym ugrupowaniu), ale obecnie sytuacja staje się ryzykowna. Jeśli czas wyboru kandydata się przedłuży, powstaje naturalnie pytanie, czy partia ma w ogóle dobrego kandydata? Dodatkowe pytania budzi metodyka, o której PiS chętnie opowiada. Wygląda na to, że partia podeszła do sprawy mocno technokratycznie i zleca kolejne badania opinii publicznej dotyczące konkretnych osób. To znów budzi pytania, czy takie podejście nie jest błędem. Tu w grę będą przecież wchodzić względy również osobowościowe i charakterologiczne. To jedyne wybory w Polsce, w których tak mocne znaczenie mają właśnie kwestie personalne. Obraz partii analizującej słupki i tabelki w Excelu w przypadku tych wyborów również nie budzi wiarygodności. I sugeruje problemy kadrowe.

Dwa główne bloki polityczne są pogrążone w chaosie i dyskusjach wewnętrznych. Dziś trudno powiedzieć, na kogo postawią główne partie starające się o prezydenturę w przyszłym roku. Pewne jednak jest, że postawią na emocje, te wybory będą bowiem istotne z punktu widzenia zmian politycznych w kraju. Koalicja rządząca ma obecnie władzę, ale jest słaba i politycznie, i merytorycznie. Tworzyła rząd bez przygotowania, bez planu i programu. Do dziś jest skupiona na agresywnej polityce wobec poprzedników oraz walczy o przejęcie odpowiedzialności za całe państwo. Na tej drodze przejęcie urzędu prezydenta RP jest koniecznością. Walka więc będzie poważna. I bardzo ostra. Obecnie mamy tego przedsmak.

Kampanijne starcie głównych sił rządu i opozycji będzie zapewne koncentrowało uwagę większości Polaków. Ale warto wskazać również na inne formacje. Obecnie o swoich kandydatkach mówią ugrupowania parlamentarne (Konfederacja, Wolni Republikanie, posłowie niezrzeszeni), ale też ludzie znani z publicznej aktywności. Niektórzy do dziś spodziewają się startu Doroty Gawryluk, dziennikarki Polsatu, Krzysztofa Stanowskiego z Kanału Zero, w grze pozostaje kandydatura gen. Rajmunda Andrzejczaka, byłego szefa Sztabu WP. Swoje ambicje prezydenckie sygnalizują również niektórzy współpracownicy prezydenta Andrzeja Dudy. Zapewne żaden z wymienionych mniejszych graczy prezydentury nie wywalczy, ale może wpłynąć na obraz i przebieg wyborów. W przeszłości zdarzało się, że nieoczywisty kandydat zachęcił do głosowania w wyborach na tyle dużo osób, że miał realny wpływ na ostateczne wyniki. Tak może być i teraz. Wygląda więc na to, że walka o prezydenturę tym razem będzie nie tylko ostra, ale również ciekawa.

Autor jest prezesem Fundacji Instytut
Bezpieczeństwa Narodowego. **S**

Z pamiętnika robotnika

Krzysztof „FtW” Kwaśnica

Psycho Killer, Qu'est-ce que c'est? – ten fragment utworu muzycznego zespołu Talking Heads daje na początek dla rozluźnienia atmosfery, więc jak ktoś jest utalentowany muzycznie, może nucić.

Jak to czasem bywa i mnie niekiedy nachodzi refleksja. Tym razem przyszła na temat spuścizny „neutronowego Jacka” – tak, o Jacka Welcha chodzi. Mimo że opuścił on już ten padół, to jednak jego koncepcje mają się dobrze. Zagnieżdżył się i pewnie nieprędko podążą w ślad za swoim ojcem. Faceta, który wpadł na pomysł, że pracownik to koszt, nie darzę jakimś szczególnym szacunkiem, może dlatego, że na drabinie społecznej stoję dość nisko. Tak naprawdę nie mam pewności co do zbliżenia się nawet do tego urzędnika wspinaczkowego, i choć może to nie było jego głównym zamierzeniem, taki jest końcowy efekt.

Wiadomo, że jak są koszty, to trzeba je ciąć. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że jak w przedsiębiorstwie następuje przerost zatrudnienia, to jest ono skazane na porażkę, natomiast gdy w ramach cięcia kosztów pracownik jest obciążany coraz to większym nakładem pracy, to właśnie on jest skazany na krach zdrowotny, co zasadniczo nie interesuje żadnej firmy, bo weźmie sobie nowego.

I tu można przejść do kolejnego aspektu, czyli systemu ocen pracownika, gdzie człowiek się staje jedynie rubryką w arkuszu kalkulacyjnym. Oczywiście prowadzenie biznesu nie jest działalnością charytatywną, ale takie podejście nie jest niczym innym, jak formą zarządzania przez strach. Oczywiście on jest najsilniejszym motywatorem i dostarcza bodźców do działania, ale daje efekty dość krótkowzroczne. Konieczność wykazania się w dziedzinie cięcia kosztów powoduje nawet śmiały projekt, które może nie są najlepsze dla klienta, ale przynoszą wymierne efekty w postaci oszczędności.

Być może ktoś zastanawiał się kiedyś, dlaczego kable do urządzeń elektrycznych są coraz krótsze? Odpowiedź jest prosta, przecież tam jest miedź, ona nie jest najtańszym metalem, więc trzeba ją oszczędzać, a przy okazji mogą zarobić producenci przedłużaczy. Z niepokojem czekam, aż zostanie wdrożony pomysł, że rolka papieru toaletowego winna się składać z dwóch listków, tego początkowego oraz końcowego. Tu się pojawia problem, że nie tylko pracownik jest przeszkodą w osiągnięciu zysku, ale i klient ze swoimi oczekiwaniami w stosunku do produktu.

Ciągłe cięcie kosztów może skutkować tym, że stosowanie coraz tańszych zamienników może spowodować zalanie rynku zwykłymi bublami. I chociaż moja babcia mawiała, że: „Tanie mięso psy jedzą”, to niestety, te buble wcale nie są tanie. Nastawienie na szybki i duży zysk akcjonariuszy implikuje niestety minimalizację płacy pracownika, wszak nie on jest najważniejszy.

Tu chciałbym przejść do kolejnego „wynałazku”, czyli offshoringu. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że te wszystkie korporacje nie zawitały do Polski, bo jesteśmy tacy fajni i po prostu trudno nas nie lubić, ale dlatego, że było tu i w sumie nadal jest źródło w miarę taniej siły roboczej. Zasadniczo nie ma nic złego w tym, że takie firmy inwestują w nie-założonych krajach: ludzie mają pracę, coś tam zarabiają, płyną jakieś podatki.

Problem jednak jakiś istnieje – one są zupełnie niezainteresowane podniesieniem dobrostanu danego regionu, co by pociągało za sobą podniesienie płac. A to już nic nie ma wspólnego z cięciem kosztów, co można czę-

sto usłyszeć w lamentacjach różnego rodzaju lobbystów. Można śmiało powiedzieć, że firmy te są zasadniczo zainteresowane utrzymaniem niedorozwoju, bo tylko to im się opłaca.

Nie można odmówić pewnej logiki takiemu podejściu, problem tkwi w tym, jaka jest rola państwa, czy ono posiada jakąś strategię równoległą? No bo nietrudno sobie wyobrazić taki dzień, gdy te wszystkie firmy powiedzą: „Wiecie, Polska, było miło, ale tu u was bardzo niepokojąco wieje ze Wschodu, a to nas wprowadza w zły nastrój, więc pakujemy walizki i przenosimy się gdzie indziej”. I wtedy nadejdzie chwila prawdy, czy państwo, korzystając z podatków, utworzyło jakiś plan B, czy też zajmowało się jedynie – tu przychodzi mi do głowy niezbyt chwalebna analogia – stręczeniem obywateli do średnio płatnej pracy.

A wtedy to naprawdę nie będzie innego wyjścia, jak obsadzić cały kraj lasami, byśmy mogli robić łapcie z łyka dla zamożnych

turystów. Przecież te wszystkie przedsiębiorstwa skwapliwie przyjmą wszelkie ulgi, nie będą protestować, biorąc pieniądze z jakiejś tarczy ostonowej związanej na przy-

kład z covidem, ale też bez słowa potrafią spakować się i wyjechać, nie śpiewając nawet na do widzenia: „Nie płacz, kiedy odjadę”.

Taka relacja to nie jest namiętny romans, ale raczej związek z socjopatą, a takiemu to zawsze trzeba patrzeć na ręce, wszak sumienie, moralność to nie jest środowisko naturalne, w którym egzystuje. W tak toksycznym związku ktoś zawsze musi być stracony, kwestia tylko, jak bardzo, i czy istnieją narzędzia, by ustawić takiego do pionu, czy też państwo jest delikatną eteryczną istotą w zetknięciu z korporacyjnym czołgiem. **S**

Faceta, który wpadł na pomysł, że pracownik to koszt, nie darzę jakimś szczególnym szacunkiem, może dlatego, że na drabinie społecznej stoję dość nisko.

Ostatni bój Adriana Zandberga

O tym, że obecna sytuacja na lewicy musi, prędzej czy później, doprowadzić do przesilenia, pisałem na łamach naszego tygodnika już kilkakrotnie. Ultimatum postawione na początku października Partii Razem przez polityków Nowej Lewicy było już najbardziej widoczną zapowiedzią, że ten moment się zbliża. Jeśli Razem uległoby presji, formację tę czekałaby stopniowa osmoza z obozem liberalnym, a w rezultacie **utrata tożsamości** i porzucenie lewicowego programu.

Marek Nowak

Jeden z liderów partii Adrian Zandberg w ostatniej chwili właściwie odczytał stawkę tej rozgrywki i zaczął otwarcie mówić o konieczności opuszczenia klubu Lewicy. Choć ostatecznie udało mu się przekonać do swoich racji większość partii, to już w walce o zachowanie jedności całej formacji poniósł bolesną klęskę. Jednak najważniejszy i zarazem najtrudniejszy bój o polityczną przyszłość własną i swojej formacji jest dopiero przed Zandbergiem.

Rozpad Razem

W historii partii Razem 24 października 2024 roku z pewnością

zapisze się jako bardzo bolesna data. Pięć z siedmiu posłanek Razem, w tym współprzewodnicząca partii Magdalena Biejat, postanowiło opuścić ugrupowanie. Decyzję w tej sprawie ogłoszono na platformie X. Kobiety wydały wspólne oświadczenie. „Wraz z Anną Górską, Darią Gosek-Popiołek, Dorotą Olko oraz Joanną Wichą podjęłyśmy decyzję o opuszczeniu partii Razem” – poinformowała Biejat. Polityczki, przeczuwając, że zbliżający się kongres Partii Razem najprawdopodobniej podejmie decyzję o konieczności opuszczenia przez tę formację klubu Lewicy, zdecydowały się na ruch wyprzedzający.

Zdaje się, że jedynie kwestią czasu pozostaje ich wejście do rządu Donalda Tuska. Wydarzenie to było z pewnością ogromnym ciosem dla całej lewicowej formacji i śmiało można powiedzieć, że partia Razem jest teraz w najtrudniejszym momencie w swojej dotychczasowej historii. Podobnie jak w najtrudniejszym momencie własnej kariery politycznej jest kierujący nią, w różnych konfiguracjach, od samego początku jej istnienia, Adrian Zandberg, którego przywództwo po raz pierwszy zostało tak jawnie podważone. Polityk, który jeszcze kilka lat temu typowany był na lidera całej polskiej lewicy, dziś musi



Fot. Adam Chelstowski / Forum



z jednej strony mierzyć się z konsekwencjami rozpadu własnej partii, z drugiej zaś stać w obliczu nowej politycznej rzeczywistości, w której po roku nieformalnego wspierania rządu Tuska trzeba znaleźć swoje miejsce na opozycji wobec tegoż rządu. Wszystko jest jednak pochodną licznych błędów Zandberga i kierowanej przez niego formacji.

Narodziny gwiazdy

Najjaśniej gwiazda Adriana Zandberga zabłysła na polskiej scenie politycznej dwa razy. Po raz pierwszy w trakcie debaty przed wyborami parlamentarnymi, w 2015 roku. Nieznany nikomu wówczas polityk

z nieznanej większości społeczeństwa partii przyćmił znanych i doświadczonych politycznych wyjadaczy swoją charyzmą i merytorycznym przygotowaniem. Jednak było w tym coś więcej. Język polityki w 2015 roku, w tym także język coraz bardziej zakochanej w globalizacji lewicy, był językiem hiperindywidualistycznym, ewidentnie wielkomiejskim, atomizującym społeczeństwo. Zandberg potrafił mówić inaczej. Nie tylko dobrze wiedział, że o kwestiach społecznych trzeba mówić czytelnym, obrazowym językiem dotykającym ważnych społecznych bolączek, ale także rozumiał, że

u polityka mowa jest również narzędziem budowania wspólnoty. Obietnicą takiej wspólnoty była już nawet sama nazwa lewicowej formacji, która od momentu wspomnianej debaty (choć nie udało się jej wejść do Sejmu w 2015 roku) została stałym elementem polskiej sceny politycznej. Ponadto Adrian Zandberg w odróżnieniu od wielu innych przywódców politycznych (zwłaszcza tych, którzy do nazw swoich formacji dopisują własne imię i nazwisko) rozumiał, że ugrupowanie chcące być czymś więcej niż polityczną efemerydą, musi składać się przynajmniej z kilku rozpoznawalnych polityków. Dlatego Razem od samego początku promowało w mediach szerokie grono polityczek i polityków. Dzięki własnej pracy ugrupowanie szybko zyskało opinię lewicy ideowej. Nawet jeśli realne społeczne poparcie nie dawało ciągle Razem miejsca w parlamencie, to sama obecność takiej formacji na scenie politycznej miała znaczenie, zwłaszcza dla jej lewej strony – dla jednych byli drogowskazem, dla innych wyrzutem sumienia, dla jeszcze innych nadzieją na powstanie kiedyś silnej ideowo lewicy w Polsce. Gdy Razem pod przywództwem Zandberga, w koalicji z Wiosną Roberta Biedronia i resztkami SLD kierowanymi przez Włodzimierza Czarzastego, weszło do Sejmu w 2019 roku, ta nadzieja w wielu miejscach się umocniła. Niedługo potem gwiazda Zandberga zabłysła jasno po raz drugi.

Od prób niezależności do poddaństwa

Sejmowe wystąpienie lidera Razem po exposé premiera Mateusza Morawieckiego wydawało się być czymś więcej niż zwykłym epizodem sejmowej debaty. Po raz pierwszy od czasów objęcia

przez ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego władzy ktoś zaatakował z trybuny sejmowej polityka tej partii z pozycji prospołecznych. Kłopot miało PiS, którego politycy nie byli przyzwyczajeni do odpierania ataków z tej strony. Kłopot miała też Platforma. Swoim wystąpieniem Zandberg przełamał duopol, w którym ton aktualnej opozycji nadawała PO swoją liberalną, a czasem nawet leseferystyczną narracją na temat polityki społecznej PiS-u. Czy lewicowa opozycja będzie mieć od teraz twarz Zandberga? – zastanawiali się ówcześni komentatorzy politycznej rzeczywistości. Czy rządzące wówczas PiS zyska z jednej strony trudnego oponenta, z drugiej zaś ugrupowanie opozycyjne, z którym może negocjować ważne prospołeczne projekty? Czy PO straci możliwość dyscyplinowania lewicy i narzucania jej modelu polityki, który ta może prowadzić? W tamtym momencie każde z tych pytań pozostawało otwarte. Lewicowa koalicja potrafiła też czasem podejmować próby wybijania się na polityczną niezależność.

Wystawienie jako kandydata na RPO zasłużonego lewicowego działacza Piotra Ikonowicza czy głosowanie wspólnie z PiS za ratyfikacją Funduszu Odbudowy (co wywołało furję w liberalnych mediach) to tylko niektóre przykłady takiej próby niezależności. Jednak im bliżej było kolejnej

kampanii, tym bardziej firmowana przez Włodzimierza Czarzastego taktyka totalnej wojny z PiS i dużej spolegliwości względem PO stawiała się dominującym modelem funkcjonowania politycznego lewicy. W rezultacie wskutek utraty poparcia coraz trudniej odróżnialna od PO lewica miała w nowym parlamencie znacznie mniejszy klub (spadek z 49

w szerokiej koalicji, skazany jesteś na chodzenie na kompromisy. Jeśli przypomnimy sobie przywoływane już w tym tekście wystąpienie Zandberga po exposé Morawieckiego i spróbujemy sprowadzić wszystkie zarzuty lidera Razem do wspólnego mianownika, to byłoby to właśnie zbyt chodzenie przez PiS na różne kompromisy.

ZANDBERG, KTÓRY JESZCZE KILKA LAT TEMU TYPOWANY BYŁ NA LIDERA CAŁEJ POLSKIEJ LEWICY, DZIŚ MUSI MIERZYĆ SIĘ Z KONSEKWENCJAMI ROZPADU WŁASNEJ PARTII.

**BĘDĄC
NAJMNIEJSZĄ
FORMACJĄ
W SZEROKIEJ
KOALICJI,
SKAZANY JESTEŚ
NA CHODZENIE
NA KOMPROMISY.**

do 26 mandatów). Dla polityków Nowej Lewicy powrót do władzy okazał się wartością samą w sobie, wartą nawet najdalej idących kompromisów programowych. Politycy Razem od początku w tej sprawie kluczili. Ostatecznie, mając do wyboru dwie trudne i ryzykowne drogi, wybrali trzecią, najgorszą, i właściwie z gwarantowaną klęską na końcu.

W rządzie czy w opozycji?

Wchodząc do rządu, Razem mogło próbować forsować własny program i zmuszać większych koalicyjnych partnerów do chociaż częściowej jego implementacji. Wiązało się to z dużym ryzykiem – będąc najmniejszą formacją

Z grupami interesów, różnymi lobby czy innymi krajami, czego przykładem miała być rezygnacja polskiego rządu z podatku cyfrowego pod presją amerykańskiego wiceprezydenta. Chodzenie czasem na kompromisy to stała praktyka rządzenia i los wszystkich rządzących. Pytanie tylko, jaka powinna być skala tych kompromisów. Czy Zandberg i jego formacja, wchodząc do rządu Tuska, nie byłiby skazani na dużo bardziej zgniłe kompromisy niż te, które wobec oporów rozmaitych materii zawierał niekiedy rząd PiS-u? Myślę, że ostatecznie właśnie ta wizja spowodowała, iż ugrupowanie to nie podpisało umowy koalicyjnej. Dużo trudniej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wobec tego nie zdecydowało się wtedy na przejście do opozycji? W końcu Razem głosowało za wotum zaufania dla rządu i broniło w głosowaniach wotum nieufności kolejnych jego ministrów. Jak na formację, która nie weszła do rządu, jest to dość dziwaczna postawa. Jeszcze trudniejsza

do zrozumienia była postawa samego Adriana Zandberga. Polityk z jednej strony miesiącami „groźnie” pohukiwał za pośrednictwem mediów społecznościowych na liberalny rząd, wysyłając sygnały, że najchętniej widziałby się w roli klasycznej opozycji wobec niego, z drugiej zaś – wraz z częścią rządu uczestniczył w procesie wypychania z własnej formacji najbardziej merytorycznej lewicowej posłanki Pauliny Matysiak. Więcej tu było miotania się niż przemysłowej polityki.

Radykalizm strachu

Profesor Marcin Król w swojej słynnej książce podzielił liberalizm na „liberalizm strachu i liberalizm odwagi”. Myślę, że w podobny sposób można też podzielić to, co w sferze publicznej nazywamy czasami radykalizmem. Adrian Zandberg przez wielu jest uważany za politycznego radykała, ale jego radykalizm zawsze miał pewne cechy radykalizmu strachu. Był to przede wszystkim strach przed ośmieszeniem. Łatwiej to zrozumieć, gdy przyjrzy się dokładnie politycznej biografii lidera Razem. Zandberg jest już dosyć długo

wieści o transformacji. Widział, jak wszyscy, niezależnie od własnych zasług i biografii, niezgadający się z tą opowieścią byli wyszydzani i spychani na polityczny margines. To w wielu uczestnikach tamtej polityki pozostawiało mentalne blizny, których nie da się łatwo zakłajstrować organizacyjną sprawnością i liderską charyzmą.

Dziś wiele wskazuje na to, że lider Razem zdał sobie już sprawę, że wszystkie działania jego formacji po zeszłorocznych wyborach parlamentarnych to istny zbiór niedorzeczności. Pozorowanie polityki zamiast jej uprawiania. Otwarte pozostaje jednak pytanie, na jaki model opozycyjności się teraz zdecyduje. Czy Razem pogodzi się z posłanką Pauliną Matysiak i wybierze reprezen-

pozostanie „radykalizmem strachu”? Najważniejszym testem będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. Jeśli Razem ciągle chce liczyć się na scenie politycznej, powinno wystawić w nich swojego kandydata/kandydatkę. To automatycznie

rodzi pytanie o zachowanie w drugiej turze. Najpewniej staną w niej na przeciw siebie kandydaci PiS i PO. Polityczny mainstream z pewnością zacznie wywierać ogromną presję na pozostałych kandydatów, by karnie i bezwarunkowo poparli

CZY RAZEM POGODZI SIĘ Z POSŁANKĄ PAULINĄ MATYSIAK I WYBIERZE REPREZENTOWANY PRZEZ NIĄ MODEL PROWADZENIA POLITYKI?

kandydata PO. Czy partia Zandberga ulegnie tej presji? Gdyby tak było, podważałoby to sens opozycyjności razemowej lewicy wobec obecnego układu rządowego. Jest jednak coś dużo ważniejszego. Warto zastanowić się nad

stawką tych wyborów. Grzegorz Schetyński w przypływie szczerości podczas rozmowy z Dorotą Gawryluk na antenie Polsat News wyłożył ją dość złowieszczo. „Te wybory są najważniejsze, bo one pozwolą domknąć system” – powiedział były lider PO. Zarówno Adrian Zandberg, jak i pozo-

stali liderzy Razem powinni się zastanowić, czy w tak „domkniętym systemie” będzie jeszcze dla nich miejsce. **S**

LIDER RAZEM ZDAŁ JUŻ SOBIE SPRAWĘ, ŻE WSZYSTKIE DZIAŁANIA JEGO FORMACJI PO ZESZŁOROCZNYCH WYBORACH PARLAMENTARNYCH TO ISTNY **ZBIÓR NIEDORZECZNOŚCI**. POZOROWANIE POLITYKI ZAMIAST JEJ UPRAWIANIA.

politykiem. Był aktywny co najmniej od 1995 roku. Przeżył lata 90. wraz z ich polityczną i symboliczną dominacją liberalnej opo-

zacji. Był aktywny co najmniej od 1995 roku. Przeżył lata 90. wraz z ich polityczną i symboliczną dominacją liberalnej opo-

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Enerdowska lekcja



Zdzisław Krasnodębski

Gdy w roku 2015 Polacy dokonali wyborów, które nie spodobały się w europejskich ośrodkach władzy, a potem rząd polski zaczął wykazywać zuchwały brak uległości wobec nakazów KE, oburzano się w Brukseli i Berlinie. Jak to? – mówiono – Polska wzbogaciła się i zmieniła dzięki pieniądзом unijnym, a więc w domyśle niemieckim, i teraz za tę wielkoduszność odpłaca czarną niewdzięcznością? Sporo było w tym zawiści z powodu naszego skoku cywilizacyjnego. Przyzwyczajono się, że w Polsce panuje bieda, że Polska potrzebuje protekcji, wsparcia i światłego kierownictwa.

Wielu Polaków również uważa, że dotacje z UE były głównym czynnikiem naszego rozwoju i że w Unię Europejską wcielił się rozum absolutny. Jeśli jeszcze nie wszystko się dobrze układa, jeśli pewne decyzje unijne okazują się dla nas niekorzystne, a wybory Polaków z unijnego punktu widzenia niedobre, to dlatego że Polska jest nowym członkiem Unii. Choć jest nim już dwadzieścia lat...

Warto więc przypomnieć, że jedno państwo dawnego bloku wschodniego uczestniczyło w integracji europejskiej niemal od razu po upadku komunizmu, jeszcze przed zawarciem traktatu z Maastricht. Korzystało także z ogromnych transferów pieniędzy, które nie podlegały ograniczeniom unijnym, gdyż w traktatach uczyniono dla niego wyjątek. Obywatele tego 16-milionowego państwa od samego początku korzystali ze wszystkich

„dobrodziejstw” europejskiej integracji, takich chociażby jak swobodne poruszanie się w obrębie integrującej się Europy. Nie mieli także bariery językowej i kulturowej.

Jakie to państwo? To obecne wschodnie landy Niemiec, a państwo nazywało się Niemiecka Republika Demokratyczna. Miała ona taki sam status polityczny jak Polska Rzeczpospolita Ludowa. Była uznana międzynarodowo i była suwerenna w takim samym stopniu – w 1973 roku wraz Republiką Federalną Niemiec stała się członkiem ONZ.

Jak się więc dziś wiedzie obywatelom dawnej NRD, ich dzieciom i wnukom, jak rozwijają się Brandenburgia, Saksonia, Turynia, Meklemburgia? Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto sięgnąć do wydanej przez Instytut Zachodni książki Dirka Oschmanna „Jak niemiecki Zachód wymyślił swój Wschód”, która wywołała duże poruszenie w Niemczech. Autor opisuje rosnące poczucie dyskryminacji, marginalizacji, stygmatyzacji i wydziedziczenia. To, że nie jest to tylko jego subiektywne odczucie, pokazują liczby. Jak podaje, ludzie zarabiają tam przeciętnie o 20% mniej niż na Zachodzie. Dawnych enerdowców nie stać na urlopy narciarskie i egzotyczne wyjazdy, które stały się obowiązkiem w kręgach polskiej warstwy średniej, wśród naszych korpuludków. Tylko 1,7% członków elit niemieckich pochodzi z Niemiec Wschodnich – w Polsce wykształciła się warstwa średnia i wyższa, zarządzająca państwem i gospodarką. Większość profesorów nauk humanistycznych

na uniwersytetach w Niemczech Wschodnich pochodzi z „Zachodu”. Podobnie jest z rektorami. Dorobek kulturowy Niemców z NRD jest pomijany. Przeszłość opowiadana jest z „zachodniego” punktu widzenia. Do wyjątków należą książki, w których historia NRD potraktowana jest jako integralna część historii Niemiec, jak ta znanego kiedyś dziennikarza Petera Bendera „Zweimal Deutschland. Eine ungeteilte Nachkriegsgeschichte 1945–1990”.

Oschmann uważa, że słowo „Ostdeutscher” to negatywnie nacechowany konstrukt, w którym zawierają się dawne przesady wobec „Wschodu”. Píše: „Wschód” ewidentnie nie jest już stroną świata, lecz mianem tego, co zasadniczo zacofane, pozabawione kultury, barbarzyńskie. Negatywne określenia i skojarzenia znalazły kontynuację po II wojnie światowej w określeniach „strefa wschodnia”, „blok wschodni” i „Europa Wschodnia”, a także w pogardliwych uwagach Konrada Adenauera, że za Kassel zaczyna się „Wołoszczyzna”, a w okolicach Magdeburga „Azja”, w tak zwanych „dowcipach o Polakach”, a wreszcie w neologizmie „Ossi” – listę nacechowanych pejoratywnie pojęć i obrazów można by dowolnie wydłużać.

Arogancja Niemców Zachodnich w stosunku do Niemców na wschodzie powtarza się w arogancji wszystkich Niemców wobec Polaków. Co więcej, jest to myślenie zaszczipione Polakom. W czasie kampanii wyborczej w Wielkopolsce usłyszałem powiedzenie „Od Konina Azja się zaczyna”. Śmieszyło mnie poczucie wyższości nad dawną

„Kongresówką”, duma bycia skolonizowanym przez lepszego „kolonizatora”. Musiałem rozczarować Wielkopolan, cytując im Gustava Freytaga, Maxa Webera i Konrada Adenauera. Niestety ten sposób myślenia charakteryzuje także

mię Zachodnich, są bardzo silne. Jest jednak między nami zasadnicza różnica – Polacy zachowali własne państwo, podczas gdy ernerdowncy się go wyrzekli, godząc się na inkorporację do Republiki Federalnej Niemiec. Oczywiście można

kiego systemu wykryć niemieckość”. Co zaś do państwowości to Niemcy niemal zawsze żyli w różnych państwach, niekiedy sztucznie utworzonych – na przykład Bawaria była w dużej mierze dziełem Napoleona. Także po zjednoczeniu Niemiec przez Bismarcka nie wszystkie państwa niemieckie znalazły się w Rzeszy. I skoro Austria pozostała w XX wieku odrębnym państwem, dlaczego nie mogłoby tak stać się z NRD?

PRL nie zniknęła, lecz przekształciła się w III Rzeczpospolitą. Polacy mają swoje państwo. Ale czy na zawsze? Historia nie daje takiej gwarancji. Proces kolonizacji, który dotknął Niemców Wschodnich, dokonuje się również u nas, choć wolniej i słabiej. Możemy wyobrazić sobie, że rozbudowa państwa unijnego sprawi, że Polska jako państwo się w nim rozpułynie. Warto przeczytać książkę Oschmanna, by zrozumieć, jakie mogą być tego psychospołeczne konsekwencje. **S**

AROGANCJA NIEMCÓW ZACHODNICH W STOSUNKU DO NIEMCÓW NA WSCHODZIE **POWTARZA SIĘ** W AROGANCJI WSZYSTKICH NIEMCÓW WOBEC POLAKÓW.

część polskich elit politycznych, w tym obecnego premiera, z jego pokretnym stosunkiem do polskości i niemieckości.

Czym się różni nasza sytuacja od Niemiec poenerdownskich? Także u nas wpływy Niemiec, a więc głównie Nie-

kwestionować zarówno niemieckość, jak i państwowość NRD. Co do niemieckości to przypomnijmy, co przed laty pisał o NRD Timothy Garton Ash: „Wystarczy odrobinę poskrobać, aby pod łuszczącym się tynkiem radziec-



Ulice Tbilisi mogą spływać KRWIĄ

Wybory parlamentarne w Gruzji wielu analityków **porównuje do wojen w Wietnamie i Afganistanie**, które dziesiątkowały tamtejszą ludność, choć tak naprawdę były próbą sił między Rosją Sowiecką i Stanami Zjednoczonymi, głównymi rozgrywającymi świata rozdartej żelazną kurtyną. Również teraz, choć bez karabinów, a jedynie przy pomocy urn wyborczych, toczyła się walka między światem zachodniej demokracji a odbudowującą sowieckie imperium Moskwą. Bitwę (choć nie wojnę) wygrała bezspornie Rosja, której cichy reprezentant, partia Gruzińskie Marzenie, uzyskał – niekoniecznie uczciwie – ponad 54-procentowe poparcie wyborców.

| Paweł Pietkun |



▼
Założyciel partii
Gruzińskie Marzenie
Bidzina Iwaniszwili w drodze
na wybory parlamentarne
w Tbilisi

Fot. Irakli Gedenidze / Reuters / Forum

Czy powtórzy się kolejny wariant znanych już z innych wschodnioeuropejskich stolic krwawo tłumionych protestów? Wielu Gruzinów zazdrościło Ukraińcom wielkich protestów sprzed ponad dekady, dzisiaj znanych pod nazwą Euromajdanu, czy z podziwem przyglądało się podobnym z Mińska, po kolejnej wygranej Alaksandra Łukaszenki. Dzisiaj sami są gotowi zmierzyć się z demonami z Moskwy.

Prezydent uznaje wybory za fałszywe

Antyrządowe protesty – pierwsze już się pojawiają w stolicy kraju i co większych miastach – łatwo poznać po hasłach protestacyjnych wypisywanych koniecznie dwoma alfabetami. Pierwszy to oczywiście alfabet łaciński i hasła pisane po angielsku. Są w oczywisty sposób adresowane do dziennikarzy zza granicy, których przekaz od niedzieli pojawia się w największych telewizjach i serwisach świata, oraz obserwatorów z Zachodu, którzy wciąż, zdaniem gruzińskiej ulicy, mogą wiele zmienić w najbliższej przyszłości kraju. Na drugich widać – pewnie te same – hasła pisane charakterystycznym i niepowtarzalnym alfabetem, który dla Gruzinów był zawsze tarczą i ostoją ich narodowej tożsamości. Zawsze podkreślają, że przetrwał najazdy i okupację Syryjczyków, Arabów, w końcu Rosjan razem z panowaniem Związku Radzieckiego, co często widać w zabytkowych kościołach tego kraju, gdzie można zobaczyć ślady gruzińskiego pisma, zamalowywanego i pokrywanego alfabetem arabskim oraz cyrylicą. Nawet najbardziej uciskani nigdy nie dali sobie do końca narzucić pisma innego niż to stworzone (jak głosi legenda, choć sami mieszkańcy Sakartweli – to starsza nazwa Gruzji – przekonują, że to twardy fakt) przez ich króla Farnawazę I, mniej więcej 300 lat przed naszą erą. Dzisiaj gruziński alfabet znów jest ważny – po raz kolejny będzie ich

tarczą, na protestach przeciwko wynikowi ostatnich wyborów, do których zaczęli się namawiać już w niedzielne południe.

Opozycja i Salome Zurbiszwili, prozachodnia prezydent Gruzji, uznali wybory za sfałszowane jeszcze przed ogłoszeniem ich wyników.

– To była całkowita fałsyfikacja i konfiskacja waszych głosów. Wykorzystywane były wszystkie metody, które widzieliśmy w różnych krajach – mówi dzisiaj Gruzinom. – Oprócz tego wykorzystywane były nowoczesne technologie do wybielania fałszerstwa. Nigdy takiego czegoś nie było. Byliśmy świadkami i ofiarami rosyjskiej operacji specjalnej, wojny hybrydowej. Nie

głowy popiołem, bo nas oszukali. To czas na duże akcje protestu, by pokazać światu, że walczymy o wolność i jesteśmy narodem, który nie pogodzi się z niesprawiedliwością – apeluje.

Zgodnie z opublikowanymi przez Centralną Komisję Wyborczą protokołami partie opozycyjne łącznie uzyskały niewiele ponad 37,6 proc. głosów – z czego tylko największe z ośmiu, czyli Koalicja na rzecz Zmiany (10,92 proc), blok Jedność (10,12 proc.), Silna Gruzja (8,78 proc.) i Dla Gruzji (7,76 proc.), będą miały swoich reprezentantów w gruzińskim parlamencie. Są skłócone na tyle, że o ścisłej współpracy nie ma mowy, co zresztą zniechęciło wielu wyborców do od-

WIELU GRUZINÓW ZAZDROŚCIŁO UKRAIŃCOM EUROMAJDANU CZY Z PODZIWEM PRZYGLĄDAŁO SIĘ PODOBNYM PROTESTOM PO KOLEJNEJ WYGRANEJ ALAKSANDRA ŁUKASZENKI. DZISIAJ SAMI SĄ GOTOWI ZMIERZYĆ SIĘ Z DEMONAMI Z MOSKWY.

uznać tych wyborów. Ich nie można uznać. To byłoby jak uznanie wejścia tutaj Rosji, podporządkowania Gruzji Rosji.

Opozycja zmiażdżona przez Gruziańskie Marzenie

Do protestów nawołuje także Micheil Saakaszwili, przebywający w więzieniu (za nadużywanie władzy) były prezydent tego kraju i twórca Zjednoczonego Bloku Narodowego. Wzywa również opozycję do bojkotu zaprzysiężenia nowego parlamentu. – Oczywiście nikt z opozycji nie powinien wejść do parlamentu! To nie czas na posypywanie

dania na nie głosu. W niepewnym postsowieckim świecie, gdzie Ukraina jest miażdżona butami rosyjskich żołdaków, Gruzini chcą mieć trochę spokoju, „odkuć się”, jak mawiają, i zakończyć kwestię ich własnej wojny z moskiewskim tyranem, którego wojska interwencyjne wciąż przebywają w Abchazji i Osetii Południowej, separatystycznych prowincjach, które ogłosiły – hojnie wspierane przez Rosję – secesję od Gruzji. To właśnie w związku z jedną z tych wojen świat w 2008 roku mógł oglądać śp. Lecha Kaczyńskiego, prezydenta Polski, który przywiózł ze sobą

europiejskich prezydentów, premierów i polityków i stanął na głównym placu stolicy w obronie przed ewentualnym szerszym atakiem rosyjskich wojsk. Ten odważny, a przede wszystkim skuteczny gest Gruzini pamiętają Lechowi Kaczyńskiemu do dzisiaj. Jego imię wypowiedane jest z wyjątkowym pietyzmem i szacunkiem. Uławia również rozmowę z Gruzinami, którzy słysząc o Polsce, nieco chętniej się otwierają.

Marzenie przejmuje kontrolę

Polska od początku była również adwokatem Gruzji w jej europejskich staraniach. W grudniu ubiegłego roku kraj ten formalnie otrzymał status państwa-kandydata do Unii Europejskiej. Jest również w kolejce do NATO, jednak Sojusz stawia Gruzinom warunek uporządkowania swoich wewnętrznych spraw – między innymi właśnie sytuacji w Osetii i Abchazji.

Sprawy ze zbliżeniem do Zachodu pewnie posuwałyby się do przodu w większym tempie, gdyby nie wciąż silne wpływy kremlowskich polityków i kremlowskiej propagandy. Oto w maju obóz rządzący przyjął tzw. prawo o agentach zagranicznych, skutecznie wiążące ręce zachodnim organizacjom, które chciały promować członkostwo w UE i NATO. Prawo to, trzeba przypomnieć, jest wierną kopią rozwiązań przyjętych rok wcześniej przez rosyjską Dumę.

Z zakazem czy nie proeuropejskie i prozachodnie instytucje już teraz zapowiadają, że gruzińskie wybory nie tylko zostaną zbadane pod kątem ich sfalszowania, ale przyjrzą się także trwającej wcześniej kampanii wyborczej i działaniom prorosyjskiego rządu Gruzjińskiego Marzenia. Nie jest już tajemnicą, że urzędnicy administracji publicznej – rządów i samorządów, na które wpływ miało Gruzjińskie Marzenie, otrzymali kategoryczne polecenie wzięcia udziału w wyborach i głosowania na wskazanych przez

przełożonych kandydatów. Czy rzeczywiście ich głosy były kontrolowane? Z pewnością bali się takich kontroli i karnie wybierali kandydatów obozu rządzącego. Jednak ta część głosów dla Gruzjińskiego Marzenia została przynajmniej prawidłowo oddana. Już kilka godzin po zamknięciu urn wyborczych świat obieżyły zdjęcia z kilku komisji, gdzie widać, jak jeden z członków na siłę wpycha do urny kilkadziesiąt kartek z głosami wyborczymi, nic nie robiąc sobie ani z protestów kolegów, ani z kamer i zdjęć, które robią mu inni członkowie komisji, dziennikarze i w końcu wyborcy. Takich przypadków, jak się dowiaduję, było przynajmniej

sela. Kreml też wydaje oświadczenie – o próbie destabilizacji Gruzji przez zachodnie siły zewnętrzne, które nie chcą uznać demokratycznego wyboru Gruzinów.

– Wybory parlamentarne w Gruzji w 2024 roku były kluczowe dla przyszłości kraju, ponieważ Gruzini wybierali nie tylko partie polityczne, ale także kierunek geopolityczny – Unia Europejska przed wyborami powstrzymała proces eurointegracji Gruzji, ponieważ „obecny rząd dąży do autorytaryzmu”, jak wskazywał Josep Borrell – mówi Tamari Kuparashvili, politolog, analityk i project manager. – Mimo że wybory zostały uznane za dobrze

ŚWIAT OBIEGŁY ZDJĘCIA Z KILKU KOMISJI, GDZIE WIDĄĆ, JAK JEDEN Z CZŁONKÓW NA SIŁĘ WPYCHA DO URNY KILKADZIESIĄT KARTEK Z GŁOSAMI WYBORCZYMI.

kilkadziesiąt. Wszystkie zostały zaskarżone, ale żaden z moich gruzińskich rozmówców nie wierzy, żeby te skargi wyborcze cokolwiek mogły zmienić.

Kraj czeka burzliwa jesień

O nieprawidłowościach wprost mówią dzisiaj obserwatorzy OBWE, zaś do szczegółowego zbadania procesu wyborczego wzywają obserwatorzy z ramienia NATO.

„Międzynarodowa Misja Obserwacji Wyborów zauważyła nierówne warunki gry, w jakich odbyły się wybory w Gruzji, co podważa zaufanie społeczeństwa do ich wyniku. Doniesienia o naruszeniach związanych z wyborami powinny zostać dokładnie zbadane” – informuje rzeczniczka Sojuszu Farah Dakhllallah w komunikacie na platformie X. Do podobnego dochodzenia wzywają Stany Zjednoczone i Bruksela.

zorganizowane pod względem technicznym, międzynarodowe organizacje alarmują o licznych naruszeniach zarówno w dniu wyborów, jak i w okresie przed nimi. Warto podkreślić, że najwięcej nieprawidłowości było przed wyborami, kiedy przedstawiciele rządzącej partii odbierali dowody osobiste od wyborców opozycji, zastraszali urzędników groźbami utraty pracy i mobilizowali swoich zwolenników, płacąc im za głosowanie na partię rządzącą. Opozycja dokumentuje te przypadki, podobnie jak międzynarodowe misje obserwacyjne, i rozpoczyna protesty na ulicach. Na ich czele stoi prezydent Gruzji. Mój kraj czeka burzliwa jesień, a dla proeuropejskich obywateli walka o przyszłość nie będzie łatwa. Wszyscy liczą jednak na wsparcie międzynarodowe, które obecny rząd traci z dnia na dzień. **S**



Tadeusz Płużański

Dlaczego Pużak nie będzie patronem?

5 listopada 1948 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie rozpoczął się pokazowy proces kierownictwa podziemnej PPS-WRN (Wolność – Równość – Niepodległość): Kazimierza Pużaka, Tadeusza Szturm de Sztrema, Józefa Dziegielewskiego, Ludwika Cohna oraz Feliksa Misiorowskiego i Wiktora Krawczyka.

Sędzieli: Władysław Stasica (przewodniczący), Roman Różański (nie mylić z Jackiem Różańskim – Józefem Goldbergiem; skazał na śmierć co najmniej dziewięciu „wrogów ludu” – wszystkie wyroki wykonano) i Napoleon Czesnak.

Oskarżali prokuratorzy: płk Stanisław Zarakowski (naczelnny prokurator wojskowy, mimo swojej krwawej działalności zmarł w Warszawie nigdy nieosądzony w 1998 r.) i płk Oskar Karliner (inny „ludowy” oprawca – prezes Najwyższego Sądu Wojskowego).

Kazimierz Pużak, ps. „Bazyli” do winy się nie przyznał i – wbrew wielokrotnym wezwaniom przewodniczącego sądu, odmówił odpowiedzi na pytania. Zamiast samokrytyki sala sądowa usłyszała: „W chwili, gdy stoję nad grobem, byłoby nie do uwierzenia, gdybym zmienił poglądy”.

W dniu rozprawy poprzednik „Trybuny Ludu” – „Głos Ludu” pisał: „Proces jednoczenia się ruchu robotniczego dokonuje się równolegle do innego procesu – eliminowania z ruchu robotniczego elementów spod znaku prawicy socjalistycznej, która jest agenturą burżuazji”. „Robotnik”, prasowy organ prokomunistycznej PPS, dodawał: „My, socjaliści polscy, oskarżamy Kazimierza Pużaka dodatkowo o to, że przez całą swoją działalność starał się wpruć PPS w rydwan polskiej kontrrewolucji”.

19 listopada 1948 r., mimo braków dowodów winy, Kazimierz Pużak i Tadeusz Szturm de Sztrem zostali skazani na 10 lat więzienia. Pozostali „renegaci” otrzymali niższe wyroki. Wobec wszystkich sąd ogłosił przepadek całego mienia na rzecz skarbu państwa.

„Robotnik” triumfował: „Łagodny wyrok siłą ludowego państwa”. W rzeczywistości „ludowej władzy” chodziło o wyeliminowanie groźnego przeciwnika politycznego. Nie było już przeszkód, aby prosowiecki PPR mógł się „zjednoczyć” i zmienić nazwę na PZPR, co nastąpiło miesiąc po procesie kierownictwa PPS-WRN. Bez aresztowania i skazania Pużaka nie byłoby to możliwe.

Kazimierz Pużak do końca pozostał wierny swoim ideałom – do Bieruta, agenta Moskwy, nie napisał prośby o ułaskawienie. Według oficjalnej wersji – zmarł 30 kwietnia 1950 r. na zapalenie płuc. Współwięźniowie z Rawicza opowiadają jednak, że Pużak został zepchnięty z metalowych schodów przez strażnika, nazywanego „Grubym Jankiem” (do dziś nie udało się ustalić jego personaliów), a potem – przez mniej więcej dwa tygodnie – nie udzielono mu pomocy lekarskiej. Miał 68 lat.

Kazimierza Pużaka, polskiego socjalistę-niepodległościowca, pochowano 5 maja 1950 r. w nocy na Starych Powązkach w Warszawie. W pogrzebie mogła uczestniczyć tylko najbliższa rodzina pod czujnym nadzorem funkcjonariuszy UB.

A ponieważ komuniści spod znaku PZPR zamordowali Kazimierza Pużaka, dziś ich następcy spod szyldu Nowej Lewicy, czy partii Razem, wolą mieć za patrona Ignacego Daszyńskiego. **S**

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA



Marek Jan Chodakiewicz

Wyznawcy Allaha: Definicje (cz. 1)

Zastanawiamy się często, jak najlepiej wytłumaczyć zjawiska związane z islamem. „He who gets to name names wins” – Ten, kto definiuje zjawiska, zwycięża. Język klarowny jest po prostu kluczem do komunikacji. Z naszej definicji wynikają konsekwencje głównie w takim sensie, że odbiorca naszej wiadomości będzie musiał podążać za naszą intencją. Zgodzić się Państwo z nami czy też zakwestionować naszą definicję, ale koncepcja już zapadnie w mózgu. Zacznie orać kanał, przymuszać do powtarzania. Bezwiednie będzie rosnąć w podświadomości. Propagandę robi się słowem, jak powiadał śp. Wojciech Wasiutyński. A święty Paweł uczył, że słowo jest jak ziarno. Zajmie trochę czasu, aby wyrosło, o ile się je pielęgnuje, czyli powtarza i tłumaczy.

Opowiadanie o jakimkolwiek zjawisku jest kłopotliwe, większość rzeczy i procesów zachodzących w świecie została już bowiem opisana. Tworzą się szkoły, ze swoimi zwolennikami, tworzy się konkurencja, a często też wściekle współzawodnictwo.

Można powiedzieć, że panuje kofonia pojęciowa. Zderzają się konkurujące ze sobą definicje i idee. Stąd konieczność precyzyjnego określenia tego, z czym mamy do czynienia albo wydaje się nam, że mamy do czynienia

nia, bo percepcje czasami (szczególnie w polityce) liczą się bardziej niż rzeczywistość.

Czasami konieczne jest tworzenie neologizmów (e.g. kalifatyści zamiast islamiści czy szczególnie „islamofaszyści”). Zob. Marek Jan Chodakiewicz, „Naming Names” [Nadając imiona], Eurasia Review, 15 grudnia 2014, <https://www.iwp>.

w klarowności i wielowątkowości analizy (na przykład stosując słowo „mahometanizm”, które dla wielu trąci myszką, ponieważ albo nie rozumieją jego głębi, albo właśnie jego głębia drażni ich polityczną poprawność).

Z islamem są kłopoty, ponieważ wiele osób spoza cywilizacji muzułmańskiej odbiera samo słowo „islam”

**ISLAM TO RZEKOMO „RELIGIA
POKOJU”. MOŻNA GO OPISAĆ
JAKO „**POKÓJ GROBU**”, ALBO
W NAJLEPSZYM WYPADKU
„**POKÓJ WIĘZIENIA**”.**

[edu/articles/2014/12/15/naming-names-an-op-ed-by-prof-marek-chodakiewicz-in-eurasia-review/](https://www.iwp.edu/articles/2014/12/15/naming-names-an-op-ed-by-prof-marek-chodakiewicz-in-eurasia-review/). Potrzebne są te neologizmy do skontrolowania innych sformułowań, które uważamy za nieadekwatne. Są one czy to nieprecyzyjne, czy też zbyt emocjonalne, czy może w służbie do rażącej propagandy, a więc przeszkadzające w spokojnym ujęciu esencji zjawiska. Mogą być nawet z gruntu fałszywe. Z podobnych powodów czasami warto się uciec do odkurzenia starej terminologii, aby pomóc

jako pejoratywne. Ma się wiązać to jedynie z terroryzmem. To nieporozumienie. Do przemocy ucieka się margines mahometan, który ją aktywnie uprawia. Ale wszyscy muzułmanie mają przykazanie religijne skrajnym pomagać, więc powinni być zaangażowani przynajmniej pośrednio – również w aktach przemocy. Inna sprawa to, że większość jednak nie pomaga aktywnie, chociaż w ramach mahometańskiej solidarności rozmaite sondaże pokazują duży stopień wsparcia i solidar-

ności z terrorystami wśród przeciwnych wyznawców tej wiary. (Zob. e.g. Alex P. Schmid, „Public Opinion Survey Data to Measure Sympathy and Support for Islamist Terrorism: A Look at Muslim Opinions on Al Qaeda and IS” [Dane z publicznych sondaży, aby zmierzyć sympatię

i Paul Seabury, War: Ends and Means [Wojna: Rezultaty i sposoby], Washington, DC: Potomac Books, 2006, s. 268–278.

O wyznawcach islamu piszemy nie tylko „muzułmanie”, ale również „mahometanie”, aby podkreślić centralną rolę w tej religii jej proro-

którzy są przeciętnymi wyznawcami proroka, a różnymi członkami czy wyznawcami sekt skrajnych. Wśród nich wyróżniamy dżihadystów, którzy twierdzą, że islam spełnia się tylko w ramach przemocy – „świętej wojny”. Ukazujemy też islamistów, którzy islam przeistoczyli w nowoczesną ideologię islamizmu, aby zdobyć władzę, czy przemocą czy innymi sposobami. (Zob. Michael Freeman, Katherine Ellena, Amina Kator-Mubarez, „The Global Spread of Islamism and the Consequences for Terrorism” [Globalne szerzenie się islamizmu i konsekwencje dla terroryzmu], Lincoln, NE: Potomac Books, 2021; Elham Manea, „The Perils of Nonviolent Islamism” [Niebezpieczeństwa islamizmu bez przemocy], New York: Telos Press Publishing, 2021).

Preferujemy jednak nazywać islamistów kalifatystami, każdy z nich marzy bowiem o przywróceniu kalifatu. A większość z nich obiecuje, że prawdę Allaha odszuka się dopiero gdy

Z ISLAMEM SĄ KŁOPOTY, PONIEWAŻ WIELE OSÓB SPOZA CYWILIZACJI MUZUŁMAŃSKIEJ ODBIERA SAMO SŁOWO „ISLAM” JAKO PEJORATYWNE.

i poparcie dla islamskiego terroryzmu: Spojrzenie na muzułmańską opinię dotyczącą Al-Kaidy i Państwa Islamskiego], International Centre for Counterterrorism, The Hague, styczeń 2017, <https://icct.nl/wp-content/uploads/2017/02/ICCT-Schmid-Muslim-Opinion-Polls-Jan2017-1.pdf>; „Muslim Opinion Polls: A Tiny Minority of Extremists?”, TheReligionofPeace.com, <https://www.the-religionofpeace.com/pages/articles/opinion-polls.aspx>).

Z drugiej strony słyszymy jednak, że takie odbieranie mahometanizmu to „islamofobia”. Islam to rzekomo „religia pokoju”. W rzeczywistości islam to wiara napędzana wojną, aby osiągnąć albo eksterminację, albo poddanie się Allahowi przez niewiernych. Jest to pokój głównie w sensie uzyskania dominacji przez muzułmanów. Można go opisać jako „pokój grobu” (peace of the grave), albo w najlepszym wypadku „pokój więzienia” (peace of the prison), jak uczą Angelo Codevilla i Paul Seabury. Rządzą muzułmanie, a ci, którzy się poddali, egzystują pod ich jarzmem. (Zob. Angelo Codevilla

ka Mahometa. Tak jak chrześcijanie mówią o „imitatio Christi”, tak też mahometanie naśladują Mahometa, co podkreśla choćby David Robinson. (Zob. David Robinson, Muslim Societies in African History [Spo-

WIĘKSZOŚĆ KALIFATYSTÓW OBIECUJE, ŻE PRAWDĘ ALLAHA ODSZUKA SIĘ DOPIERO, GDY SPOŁECZNOŚĆ ISLAMSKA (UMMA) POWRÓCI DO VII W., W WIERZE I FORMIE ORGANIZACYJNEJ, ODRZUCIWSZY WSZELKIE NALECIAŁOŚCI, TAK ABY ISLAM BYŁ „CZYSTY”.

łeczności muzułmańskie w historii Afryki], Cambridge and New York: Cambridge University Press, 2004, s. 18).

Odróżniamy jednak między muzułmanami czy mahometanami,

społeczność islamska (umma) powróci do VII w., w wierze i formie organizacyjnej, odrzuciwszy wszelkie naleciałości, tak aby islam był „czysty”

Cdn..

Waszyngton, DC, 30 października br. 

KULTURA

Czytaj też:

Cyfrowy generator wzburzenia. Kto gra na naszych emocjach?

48

OSTRZEŻENIE
WADA WYMOWY
WOKALISTA NIE WYMAWIA "R"



– Nietrzask to zespół z Torunia śpiewający o Polsce i po polsku z autoironią i z humorem. Nie jest to przaśna i biesiadna muzyka. Poruszamy się w różnych gatunkach muzycznych. Nieustannie szukamy nowych brzmień i nawiązujemy do tradycji muzyki z lat dziewięćdziesiątych XX wieku – mówi **Andrzej Kilanowski**, wokalista, autor tekstów, frontman zespołu Nietrzask, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Nietrzask to toruński zespół indie-rockowy założony w 2014 roku. Ma na swoim koncie trzy płyty oraz występy na **największych polskich festiwalach** (Pol'and'Rock, Męskie Granie).

Nie jesteśmy PRODUKTEM

– Dostrzegasz trzask w branży muzycznej, w który mógłbyś wraz z Twoim zespołem wejść jak nóż w masło?

– Nie rozglądam się za tym. Jesteśmy skupieni na naszej małej niszy i ciężko mi wyrokować o stanie polskiej muzyki rozrywkowej, bo się na tym nie znam.

– Kto jest przedstawicielem i członkiem Waszej niszy?

– Zespoły, które muszą wszystko ogarniać same, czyli wszystkie zespoły, które nie są produktem. Nietrzask nie jest produktem. Jesteśmy czymś, co narodziło się oddolnie, i wciąż to ciągniemy zupełnie sami. Prezentujemy coś,

działanie. Jesteśmy niezależnym zespołem. Pamiętamy czas grunge'u i idei, że nie można się sprędać, która towarzyszyła grunge'owemu zespołom, od Nirvany poczynsz. Na razie jeszcze się nie sprędaliśmy [śmiech].

– Kiedyś nadzie Wasz moment, bo każdym ma swoją cenę.

– Pewnie tak, to jest nieuniknione. Żyjemy w czasach produkcji muzyki. Jest naprawdę wiele dobrych, średnich i słabych zespołów. Obecnie mamy

– Łatwiej jest zbudować markę osobistą solisty niż markę zespołu.

– Dokładnie. To jest łatwiejsze marketingowo. My jesteśmy dziwnym reliktem. Nas jest sześciu. Każdy z nas dokłada coś od siebie. Nie jesteśmy formacją 1+5. Zawsze za młodu chcieliśmy mieć zespół.

– Jest u Was demokracja w zespole?

– Zaczęliśmy robić Nietrzask w trzy osoby, czyli Mikołaj, Łukasz i ja. Łukasz gra na perkusji, a Mikołaj gra na gitarze. Potem zaczęli do nas dochodzić kolejni muzycy. To zawsze był proces trójki przyjaciół. Beatlesi są bardzo dobrym przykładem. Tam nie było frontmana. Wszelkie pomysły są omawiane wewnątrz zespołu. Gdyby nie Mikołaj, pewnie nigdy nie zacząłbym śpiewać przed ludźmi. Lider zazwyczaj narzuca kierunki grupie. U nas jest spotkanie zarządu kapeli, wszyscy siadamy. Jak trzeba podjąć decyzję, to jest głosowanie i totalna demokracja. Ja słucham chłopaków, oni słuchają mnie. Nie wtrącają

MUZYKA
GATUNKOWA
OPISUJE
WYMYŚLONEGO
SŁUCHACZĄ,
A MY OPISUJEMY
OSOBE Z KRWI
I KOŚCI, KTÓRA JEST
W ŚREDNIM
WIEKU.

**NIE MA MUZYKI
O CHODZENIU DO BIEDRONKI,
O NIESPŁACONEJ RACIE
KREDYTU, O LUDZIACH
PRACY NIEPŁAWIĄCYCH SIĘ
W LUKSUSACH.**

co kiedyś było normą, a teraz nie wiadomo, czym jest. To nie jest pomysł biznesowy i zaplanowane

erę solistów. Jak sprawdzisz listę artystów na dużych festiwalach, to tam nie figurują zespoły.

mi się do tekstów, ale jak im się nie podobają, to mówią mi o tym. Wydaje mi się, że wszyscy podpisaliby się pod moimi tekstami. Jestem bardziej frontmanem niż liderem. Piszę teksty, śpiewam, zajmuję się oprawą graficzną, bo mnie to interesuje.

– Obstawiam, że jesteś grafikiem?

– Tak. Jestem projektantem graficznym, to jest mój zawód. Muzyka jest poletkiem, gdzie mogę artystycznie się wyżyć.

– Może dlatego muzyka sprawia Ci większą radość niż muzykom, dla których sztuka jest pracą na pełen etat?

– Myślę, że tak. Nasz zespół pojawił się stosunkowo późno, bo założyliśmy go, gdy byliśmy po trzydziestce. Wiem, że gdybym był młodszy i zagrał kilka festiwa-
li, to byłbym bardziej przekonany, że grupa musi wypalić. Teraz jesteśmy pozbawieni złudzeń, że nasz zespół będzie bardzo znany i zarobi mnóstwo pieniędzy. Muzyka jest naszym hoby, ziomków po czterdziestce. Obecnie nikt nie zakłada takich zespołów jak nasz. A jak zakłada ją, to nie zazdroścąc tym młodym ludziom, którzy chcą to robić. Wielu z nich się rozczaruje. Wielu z nich popełni decyzje sprzeczne ze sobą w pogoni za sukcesem. My trochę siłą rzeczy mamy ten etap już za sobą. Mam rodzinę, mam swoje sprawy, więc to tak wygląda.

– Do kogo kierowana jest Wasza muzyka?

– To są osoby pomiędzy 30. a 40. rokiem życia. Mieszkańcy średnich i dużych miast. Reprezentanci klasy średniej mający kredyty, osoby zakładające albo mające rodzinę. Dla takich osób nie ma do końca muzyki. Nie ma muzyki o chodzeniu do Biedronki, o niespłaconej racie kredytu, o ludziach pracy niepławiących się w luksusach.

– Nie jest to trudna sprawa. Jak nie siedzi się wyłącznie w popie i nie stoją nad tobą ludzie, którzy mówią ci, co masz robić, to masz wolną rękę i jesteś niezależnym zespołem. My komentujemy z kolegami bieżącą sytuację i przekładamy ją na nasze utwory. Nie musimy trzymać się gatunkowych ram. Ciężiej nam byłoby pisać i śpiewać o rzeczach abstrakcyjnych czy poetyckich.

– Byłbyś w stanie napisać rapowy albo discopolowy tekst?

– Tak. Pewnie byłyby poprawki ze strony rapera czy discopolowca. Pisanie rzeczy na zamówienie nie

jest proste. Rapowy tekst byłoby mi napisać trudniej. Mam bardzo duży szacunek do rapu. Czasami rap jest wodolejstwem i tego tekstu jest za dużo.

– Obecnie w rapie wiele się zmieniło i tekstu jest coraz mniej.

– Jeżeli chodzi o rap, to jestem oldschoolowcem. Nie słucham młodych reprezentantów rapu i nie muszę udawać, że ich znam.

– Chcecie przywrócić muzykę muzyce?

– Jest to bardzo górnolotne sformułowanie. Jest bardzo dużo dobrych muzyków i zespołów, którym nie dorastamy do pięt. Próbuje-
my dowiedzieć się, kim jesteśmy. Chciałbym, żeby było więcej takich zespołów jak nasz wychowany na Kaziku czy na Lechu Janerce. I patrząc na nich, wiem, że można w ciekawy sposób opowiedzieć o Polsce. To, co robił Kazik z Kuletem, z Kazikiem Na Żywo, czy solowo, to jedna wielka narracja

LUDZIE, KTÓRZY CHCĄ PISAĆ TEKSTY, MUSZĄ **DUŻO CZYTAĆ. POLECAM TAKĄ PRAKTYKĘ.**

Muzyka gatunkowa opisuje wymyślonego słuchacza, a my opisujemy osobę z krwi i kości, która jest w średnim wieku, czyli samych siebie.

– Jesteście głosem prekariatu?

– Prawda. Chciałem być takim głosem. Na początku naszej działalności reklamowaliśmy się hasłem, że jesteśmy folkem dla mas. Folk opisuje trudną rzeczywistość i to było nam bliskie, ale obecnie nie wiem, czy ludzie chcą o tym słuchać. Mam wrażenie, że śpiewanie o rzeczach przyziemnych nie jest celem muzyki. Ludzie muzykę traktują jak eskapizm. My śpiewamy o prozie życia z dystansem i z humorem, bo inaczej byłoby to ciężkie i niestrawne dla odbiorców.

– Jak wytworzyć pozytywną energię w muzyce?

KAŻDE
 SPOŁECZEŃSTWO
 NA ŚWIECIE
 JEST CIEKAWYM
 TEMATEM
 DO OPISYWANIA.

Nietrzask

Twórczość zespołu charakteryzuje społeczne zaangażowanie, autoironia i muzyczny eklektyzm; w jego utworach słychać zarówno wpływy amerykańskiego folku, punka, jak i nowej fali. Jego najnowszy album pt. „SZYBKÓ!” otrzymał nagrodę „Płyta roku” w plebiscycie Toruńskie Gwiazdy 2023. Poza działalnością muzyczną zespół stara się również promować innych muzyków, organizując cykl zamkniętych charytatywnych koncertów pod szyldem „TAJNE KOMPLETY”.

SKŁAD zespołu: Mikołaj Niezgoda (gitara elektryczna, akustyczna), Łukasz Trzaska (perkusja), Grzegorz Bojanowski (bas), Robert Przybyła (gitara elektryczna), Andrzej Kilanowski (wokal, teksty).

o Polsce lat 90. Później się to już skończyło, nie ma takich narracji. Nasze trzy płyty są małym załącznikiem, żeby dokumentować świat wokół nas. Chciałbym, żeby muzyka rockowa o tym opowiadała. Teraz ona występuje w wielu odsłonach. Można robić ją w formie instrumentalnej, abstrakcyjnej. Do wyboru, do koloru. Dla każdego coś miłego. Muzyka jest ciekawa i różnorodna, a my jesteśmy małym elementem wielkiej układanki.

– Bylibyście w stanie wspólnie pracować z dużą wytwórnią płytową?

– Bardzo chętnie. Jeżeli ludzie z wytwórni zadzwoniliby do nas, to z chęcią bym ich wysłuchał. Oni mają know-how.

Wiem, że tam pracują osoby, które znają się na swojej robocie. Mają kontakty do bardzo dobrych muzyków. Ich wskazówki mogą być cen-

ne w rozwoju zespołu, ale trzeba ustanowić granice, których dana wytwórnia nie przekroczy. Nie jesteśmy i nie będziemy gwiazdami pop, patrząc na to, jak wyglądamy i ile mamy lat. Jesteśmy lokalnym, niszowym zespołem i znamy swoje miejsce w szeregu.

– Jak Waszą muzykę można sklasyfikować?

– To jest muzyka alternatywna albo rock alternatywny. Chociaż tak naprawdę nie wiem [śmiech]. Wiem, skąd się wzięliśmy, ale nie wiem, dokąd idziemy i jak to się klasyfikuje.

– Luźne podejście. Marketing to jest ostatnia rzecz, o której myślicie jako zespół?

– Nie chcę, żeby to tak zabrzmiało. Kiedy publikujemy nasz singiel, to wysyłamy kilkaset maili. Mamy stronę internetową, mamy profi-

le w mediach społecznościowych. Gramy na festiwalach. Działamy marketingowo na tyle, na ile pozwalają nam czas i możliwości. Nic nie kręci się samo. Nie można czekać, aż manna spadnie z nieba.

– Historie, które opisujesz, przeżyłeś na własnej skórze?

– Też. Są również historie zasłyszane od moich znajomych. Dużo czytam prasy i reportaży. Rozmawiam z ludźmi z naszego pokolenia,

czyli urodzonych w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Wszyscy wyjechali za chlebem. Robili różne rzeczy za granicą. Daleko nie trzeba sięgać. Ludzie, którzy chcą pisać teksty, muszą dużo czytać. Polecam taką praktykę.

– Polska i polskie społeczeństwo są wdzięcznymi tematami do pisania tekstów?

– [śmiech] A jak myślisz?

– Że tak.

– Bingo. Każde społeczeństwo na świecie jest ciekawym tematem do opisywania. Polska nieustannie dostarcza tematów do pisania tekstów piosenek. Nic tylko pisać.

– Jakbyś opisał Nietrzask w kilku zdaniach osobie, która nie ma zielonego pojęcia o Waszym zespole?

– Nietrzask to zespół z Torunia śpiewający o Polsce i po polsku z autoironią i z humorem. Nie jest to przaśna i biesiadna muzyka. Poruszamy się w różnych gatunkach muzycznych. Nieustannie szukamy nowych brzmień i nawiązujemy do tradycji muzyki z lat dziewięćdziesiątych XX wieku. **S**

PISANIE RZECZY
NA ZAMÓWIENIE
NIE JEST PROSTE.

**JESTEŚMY
LOKALNYM,
NISZOWYM
ZESPOŁEM
I ZNAMY
SVOJE
MIEJSCE
W SZEREGU.**

FILM



Cyfrowy generator wzburzenia. Kto gra na naszych emocjach?

Koreański film „Fabryka trolli” na jesiennym Warsaw Korean Film Festival trafił na bardzo dobry moment. Polski internet, przede wszystkim Twitter, dyskutuje żywo o tym, jakie są kulisy wielomiesięcznej dominacji prorządowej (do października – zeszłego roku antyrządowej) narracji na tym portalu. Tymczasem „Fabryka trolli” pokazuje nam, jak to się robi w Korei. Poznajemy techniki działania nieuczciwych manipulatorów nastrojami, zarazem uświadamiając sobie, **jak bardzo jesteśmy na nie narażeni**. I choć część pokazanych sytuacji różni się od tego, czego doświadczamy na co dzień, trudno pisać tu o jakiegokolwiek „egzotyce”.

| Krzysztof Karnkowski |



Fot. kadr z filmu

Zanim opowiem o samym filmie, należy się czytelnikom kilka słów wprowadzenia. Nie jest bowiem tak, że skoro film z drugiego końca świata pokazuje istotny i dla nas problem, to znaczy, że już tak się zglobalizowaliśmy, że pojawia się on w identycznym tle społecznym. Tak nie jest, dlatego też Koreańczycy są chyba jeszcze bardziej niż my podatni na sterowanie nastrojami.

Społeczeństwo koreańskie, ujmując rzecz w dużym skrócie, ma bardzo silne tendencje do uniformizacji (w dzisiejszych czasach na Południu wyrażające się w podążaniu za klanami piękna i szaleństwem operacji plastycznych) i jednomyślności. Ostracyzm jest tam zjawiskiem częstym i brutalnym, czasem prowadzącym do tragedii – tu warto podać przykład k-popowych idoli i aktorów, od których w wyniku faktycznych przewin lub tylko nieporozumień odwrócili się fani. Osoby, dotąd obdarzane powszechnym uwielbieniem, stają się z dnia na dzień obiektem masowej krytyki, otrzymują tysiące wrogich komentarzy, padają ofiarą rozmaitych bojkotów, a ich agencje i firmy na ogół zrywają z nimi współpracę. Dla wielu kończy się to depresją, dla niektórych nawet samobójstwem. I tak niedawno na swoje życie skutecznie targnął się aktor Lee Sun-kyun, polskim widzom znany z roli ojca bogatej rodziny w oscaro- wym „Parasite”. Lee oskarżony został o posiadanie i zażywanie narkotyków, a jak sam twierdzi, przed śmiercią był szantażowany. Częste są przypadki samobójstw znanych wykonawców muzycznych, nie wytrzymujących presji ze strony fanów i firm płytowych. Wystarczy odwrócić społeczny sentyment wokół danej osoby. Z kolei z obsad popularnych seriali aktorzy znikają, gdy tylko pojawi się informacja o niewłaściwych zachowaniach, takich jak jazda pod wpływem alkoholu.

Sieć pełna skrajności

Dla naszkicowania tła warto wspomnieć też o politycznych skrajnościach, które od lat rozpalają koreański internet. Przez całe lata bardzo aktywne były dwie, znajdujące się

po przeciwnej stronie barykady, grupy – radykalne feministki i uważające się za prawicę koreańscy incele, czyli młodzi, samotni mężczyźni. Aktywność obu stronnictw brała się z poczucia dyskryminacji. Kobiety uważały, że wciąż są na straconej pozycji w parakastowym, ukształtowanym przez lata konfucjańskiego patriarchy społeczeństwie. Mężczyźni jako dowód na swoje społeczne upośledzenie wskazywali obowiązek służby wojskowej i... zwyżczaj płacenia na randkach, będący wstępem do obowiązku wzięcia na siebie głównego ciężaru utrzymywania rodziny. Nie chcąc wchodzić w rolę sędziego, zauważę tylko, że obie strony mogą mieć w tym sporze swoje argumenty, niekoniecznie

jednak szukają winnych tam,

gdzie trzeba – po stronie innych ofiar tego samego, opresyjnego modelu społecznego, który dziś skutkuje choćby potężną liczbą samobójstw, poczuciem braku szans i potężnym kryzysem

demograficznym. Po kilku latach aktywności i wzajemnego nakręcania swoich nastrojów feministki doszły do ściany w postaci oczekiwania od kobiet rezygnacji ze wszelkich atrybutów kobiecości, takich jak długie włosy czy makijaż, stworzyły też marginalny ruch 4B, którego uczestniczki odmawiać miały randkowania, seksu, małżeństwa i rodzenia dzieci. Z kolei grupy inceli swoją prawicowość zrozumiały jako konieczność obrony gabinetu niesławnej prezydent Park, co objawiło się atakami na domagających się wyjaśnienia przyczyn katastrofy promu Sewol członków rodzin ofiar.

Przeciwko ofiarom

Przypomnijmy: w kwietniu 2014 roku doszło do zatonięcia

SPÓŁCZEŃSTWO
KOREAŃSKIE
MA BARDZO
SILNE TENDENCJE
DO UNIFORMIZACJI
I JEDNOMYŚLNOŚCI.

promu, na którym przebywali uczniowie. W wyniku tego wypadku śmierć poniosło 306 osób, głównie niepełnoletnich, a kolejnych 176 zostało rannych. Akcja ratunkowa prowadzona była nieumiejętnie, ratownicy nie weszli w ogóle na pokład statku, niosąc pomoc jedynie tym, którzy wydostali się już z niego o własnych siłach. Zastrzeżenia budziło również śledztwo, według wielu opinii rozmywające odpowiedzialność właścicieli promu, którego stan techniczny był dyskwalifikujący. Zdesperowane rodziny prowadziły liczne protesty, tłumione przez policję w brutalny, niewidziany od czasów dyktatury sposób. Tymczasem uczestnicy prawicowego forum rozpoczęli akcję ośmieszania i prześladowania bliskich ofiar, które nam kojarzyć się mogą

z atakami na krewnych ofiar katastrofy smoleńskiej w 2010 roku. Poza oskarżeniami o kierowanie się wyłącznie chęcią uzyskania od państwa odszkodowań internauci z kontrowersyjnej grupy zorganizowali akcję objadania się pizzą i kimbapem (danie kuchni koreańskiej, w dużym skrócie

będące lokalnym odpowiednikiem sushi) na oczach głodujących krewnych ofiar. Jednak szczytem ich bezduszości było zachowanie chłopaka, który pozował do zdjęcia w mundurku szkoły, z której wywodzili się licealiści uczestniczący w tragedii na promie Sewol, zjadającego się ciastem rybnym, opatrzone komunikatem „Zjadłem swoich przyjaciół”, co było niewybrednym nawiązaniem do faktu, że prawdopodobnie część nieletnich topielców została zjedzona przez ryby. To wydarzenie wzbudziło na tyle silne społeczne

oburzenie, że matka chłopca ze zdjęcia poczuła się zmuszona do publicznych przeprosin.

Cyfrowi agitatorzy

Skoro więc debata publiczna za pośrednictwem internetu tak bardzo rozgrzewa emocje, nic dziwnego, że nie brak chętnych do wskoczenia na tego konia – i o tym właśnie opowiada „Fabryka trolli”, historia oparta – jak głoszą początkowe napisy – na faktach. Bohaterem filmu jest Im Sang-Jin, dziennikarz, który właśnie traci pracę, ponieważ nagłoszone przez niego nadużycie wielkiej korporacji okazuje się niemożliwe do udowodnienia. W tej roli widzowie zobaczyć mogą Son Suk-ku, aktora znanego między innymi z kilku produkcji Netfliksa („D.P.”,

sprawę, choć robi to dość ostrożnie. Historia chłopaka zdaje się jednak potwierdzać. Oto trzech młodych internautów, szukając zarobku, podejmuje się wypromowania nowej marki papierosów. Reklama nie wchodzi w grę, jest nielegalna, młodzi mają na nią jednak sposób. Kreują influencerkę, wrzucają do internetu jej zdjęcia, na których niby przypadkiem znajduje się paczka owych papierosów. „To nowa marka?” – pytają w komentarzach, po czym sami sobie odpisują, i tak produkt staje się wiralem, popularną treścią w sieci. Potem pojawia się nowe zadanie: promocja filmu zbyt ambitnego, by stał się przebojem. Tego nie da się obronić, więc uderzają z drugiej strony, atakując głównego konkurenta do uwagi

widzów historią o braku zapłaty dla statystów. Kreują społeczne oburzenie, film spada z kin, a ludzie z braku innej oferty idą na coś, czego inaczej nie chcieliby oglądać. Wtedy zauważa ich korporacja, największy koreański czebol, w filmie tu na-

OSOBY DOTĄD OBDARZANE POWSZECHNYM UWIELBIENIEM STAJĄ SIĘ Z DNIA NA DZIEŃ OBIEKTEM MASOWEJ KRYTYKI, OTRZYMUJĄ TYSIĄCE WROGICH KOMENTARZY.

„Pamiętnik mojego wyzwolenia”, „Zabójczy paradoks”, „Designated Survivor: 60 Days”) i drugiej części sensacyjnej serii „Roundup”. Reporter zostaje obwiniony o śmierć bohatera swojego tekstu, nie dostaje też szansy na oczyszczenie się z zarzutów. Gdy pogrąża się w apatii, znajduje go młody sygnalista, który obiecuje mu opowiedzieć o tym, jak poprzez stworzoną przez siebie armię trolli wpływał na debatę publiczną, działając na korzyść tej właśnie potężnej firmy. Im właśnie tego potrzebuje, zaczyna więc badać

zwany dla niepoznaki „Manjun”. Tak zaczyna się wielka operacja.

Przemysłany atak

Trzech bohaterów skupia swoją uwagę na młodej działaczce studenckiej Lee Eun-chae. Dziewczyna ewidentnie szuka uwagi i pokłasku – oni je zapewniają. Zasypują jej profil na Instagramie setkami komplementów z fikcyjnych kont, z ładnej, acz przeciętnej dziewczyny robią symbol piękna, największy skarb Korei. To uwielbienie zaczyna drażnić użytkowników, wokół pan-

ny Lee pojawiają się złe emocje, które również są przez nich umiejętnie podsycane. Po co to wszystko? Przecież nie po to, by zwichnąć karierę studentki celującej w uczelniany samorząd. Nim rozwikłam tę zagadkę, kolejne wyjaśnienie dotyczące Korei Południowej. Ustawodawstwo tego kraju zna dwa rodzaje zniesławienia. Obok fałszywego lub nieudowodnionego oskarżenia można też ścigać kogoś, kto przekaże prawdziwą informację, która może narazić skarżącego na straty finansowe lub wizerunkowe. Absurd, szalenie wygodny dla każdego, kogo stać na prawników: przełożonych, wykorzystujących pozycję wobec podwładnych, zwłaszcza kobiet, zdemoralizowanych dzieciaków z klas wyższych czy wielkich korporacji właśnie. Ojciec Lee Eun-Chae okazuje się być aktywistą walczącym o zmianę tych przepisów, toczącym nierówną walkę z firmą Manjun. Działania trolli mają zmusić jego córkę do wytoczenia im sprawy o zniesławienie, w którą ojciec włączy się, tracąc swoją wiarygodność. Dla opinii publicznej nie będzie miało przecieź znaczenia, że zniesławienie zniesławieniu nierówne. Sytuacja wymyka się jednak spod kontroli, reszty jednak państwu nie opowiem, by nie odbierać elementu zaskoczenia tym, którzy zdecydują się ten film odnaleźć i obejrzyć. Dodam tylko, że poznamy jeszcze sprytną technikę spalania tematu, co może być cenną wiedzą dla dziennikarzy śledczych.

Trolling po polsku

W naszych realiach zjawisko trollingu kojarzy się dziś głównie ze stadnymi, prymitywnymi atakami grup w rodzaju „Silnych Razem” czy Giertychowej „Sieci

na wybory”, i to zjawisko widzimy również w „Fabryce trolli”, co czyni ją filmem bardzo aktualnym dla polskiego, zaangażowanego w obserwację polityki lub jej opisywanie widza. Istnieją też u nas wielokrotnie opisywane próby sterowania debatą z zewnątrz, przede wszystkim z Rosji. Przypomnijmy, że takie

działanie ma na celu stworzenie wrażenia dominacji pewnej tendencji lub poglądu w debacie publicznej, a często również zastraszenie konkretnej osoby poprzez zmasowany atak, przybijający formę choćby setek bardzo podobnych i bardzo obraźliwych

komentarzy pod jej wypowiedziami. Lub odwrotnie – stworzenia wrażenia popularności danej osoby. Tak w swoim czasie podbijano popularność Henryki Krzywonos czy Joanny Kluzik-Rostkowskiej na Facebooku, gdy weszły w konflikt z PiS. Film równocześnie przypomina, że sterowanie nastrojami może przybrać też dużo bardziej subtelny i wyrafinowany formę. Choćby uderzenia nie w osobę, będącą faktycznym obiektem ataku, a kogoś z jego otoczenia – przed laty na przykład wyciąganie kontrowersyjnych fragmentów afrykańskich wspomnień Marcina Kydryńskiego odbierane było jako próba dyscyplinowania chwilami za mało bezkrytycznego wobec PO Marcina Mellera, towarzysza jego egzotycz-

nych eskapad. Jest też astroturfing, orkiestrowanie w pełni sterowanych inicjatyw jako fali oddolnego, społecznego oburzenia. W Polsce za oznakę tego zjawiska uważano część protestów przeciw rządowi Beaty Szydło, kreowanych przez osoby związane z organizacjami pozarządowymi, mającymi powiązania z George’em Sorošem czy Rosją. Od różniczenia wzburzenia spontanicznego od wykreowanego bywa trudne, praktyka uczy, że powyżej pewnej skali bezpieczniej jest zakładać, że mamy do czynienia z tym drugim – podkręcanie nastrojów można porównać z pożarem lasu.

Mądra rozrywka

Skupiłem się na praktycznej wiedzy i korzyściach, które możemy wyciągnąć z obejrzenia „Fabryki trolli”. Nie znaczy to jednak, że poza walem edukacyjnym nie ma tu już nic więcej. Wręcz przeciwnie – to sprawnie opowiedziana opowieść, dramat kryminalny ze społecznym zacięciem, pełen zwrotów akcji, a przy

tym bardzo wiarygodny w ukazaniu postaci, zarówno głównego bohatera i jego antagonistów, jak i bohaterów drugiego planu – dziennikarzy, ofiar manipulacji i osób spotykanych przez redaktora Ima. Dlatego to pozycja godna polecenia nie tylko fanom koreańskiego kina

czy uczestnikom i obserwatorom internetowej debaty publicznej.

W NASZYCH REALIACH ZJAWISKO TROLLINGU KOJARZY SIĘ DZIŚ GŁÓWNIE ZE STADNYMI, PRYMITYWNYMI ATAKAMI.

„Fabryka trolli”, reż. Ahn Gooc-Jin, Korea Południowa 2024, 109 min. 



Monika Małkowska

Za ostatni grosz

Wokalistka Margaret zdobyła się na odwagę i publicznie – to znaczy na antenie Radia Zet – wyznała, że we Wszystkich Świętych się rozbiera. Wyjeżdża mianowicie z ojczyzny do swego drugiego domu, jakim stała się dla niej Andaluzyja. A tam ciepło i plaża...

Dlaczego gwiazda umyka przed dniem 1 listopada? Bo dla niej to „niezbyt przyjemne” święto.

To bardzo niepatriotycznie, pani Margo. Pomijam duchy zmarłych przodków, dzięki którym – w końcu geny determinują nas choćby połowicznie – zaistniała pani na tym świecie, wykazując się talentem, który też przecież odziedziczony.

Gorzej, że nie daje pani zarobić przedstawicielom różnych branż, czekającym na jedyną taką w roku okazję: od twórców halloweenowych kostiumów zaczynając, na producentach zniczy i hodowcach chryzantem kończąc. Na piosenkarkę nie mogą też liczyć rodzimi restauratorzy, którym leży na sercu zaspokajanie apetytu gości wygłodzonych cmentarnymi wizytami.

Fakt, w Hiszpanii jada się nieźle i znacznie taniej niż u nas. Oczywiście, są lokale ugwieżdżone przez Michelina, gdzie wykwinętni celebryci z różnych stron świata delectują się fantazjami szefów. Jednak na co dzień w knajpkach i barach wszelkiego autoramentu nie widać podziału na „suwerenów” i „elitę”. Jest bardziej demokratycznie i smacznie.

Co do nazewnictwa: kim są ci pierwsi? Kiedyś było jasne: wyborcy prawicy, przekupieni 500+. Według społecznych prognoz mieli tę nadwyżkę przeznaczyć na konsumpcję, broń Boże nie na poprawę jakości życia. Przecież wygodniej było z wyższościowej pozycji stroić miny „dobrej pani”, jak ongiś

Dominika Wielowieyska w „GW”, która wymyśliła, jak zwalczyć niedożywienie (sic!) wśród potomstwa ubogich rodzin. Otóż trzeba „zapewnić posiłki wszystkim w szkołach, przedszkolach, szczególnie w czasie wakacji, kiedy najbiedniejsze dzieci nie wyjeżdżają”.

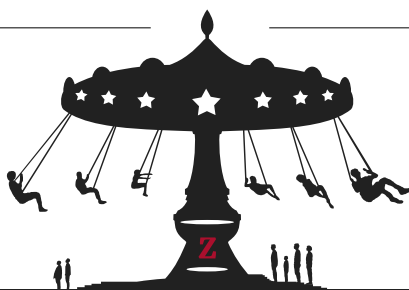
Cytat pochodzi z 2015 roku, sprzed „ery niszczenia demokracji w Polsce”, czyli z końcówki „pierwszego Tuska”.

Mniej więcej w tym samym czasie w Warszawie zaistniał lokal, do którego niedożywieni obywatele III RP mogli co najwyżej podczołgać się i wdychać wonie z kuchni dla neoliberalnej arystokracji. Pod remontowanym obecnie dworcem Warszawa Powiśle stanął wówczas Zielony Niedźwiedź – i wciąż tam stoi, łapy wyciąga po kasę snobów. Przybytek dla „elyt” Warszawy odwiedził arbiter kulinarny „GW” (ogólnie rozpoznawalny wizualnie, co nie jest bez znaczenia). Był, żarł, ocenił, wycenił. Smakowało, ale redakcyjną kieszeń zabolowało. I nie zachwyił się. W tytule kulinarnej recenzji przyznał, że „za stek zapłacił tyle, ile inni mają na życie na tydzień”. Tylko... za drugiego Tuska jakby mniej jest chętnych na kacze jęczyczki z pistacjami bądź polędwicę jagnięcą o konsystencji ptasiego mleka.

Ci na śmieciówkach, jeśli jeszcze mają pracę, zastanawiają się nad pizzą dla rodziny – to około 60 zeta za placek. Ci, których miesięczne dochody są grubo poniżej unijnie przyznanej uchodźcom kwoty, nie jadają w żadnych restauracjach. Ci, którzy szukają jakiegokolwiek pracy, choćby poniżej kwalifikacji, nie pójdą nawet do pizzerii. Emigrują, by jakkolwiek egzystować.

„Za ostatni grosz” kupią bilet w zachodnią stronę. Jak to się stało, że wróciliśmy do tej stawki? **S**

KARUZELA



BLOGERAMI

ROSEMANN

BERLIŃSKI STÓŁ

SPOŚRÓD WIELU FAKTÓW STOJĄCYCH W OCZYSZCZENIU sprzeczności z twierdzeniem Donalda Tuska, że jego nikt w Europie (Unii Europejskiej) nie ogra, sprawa „berlińskiego stołu” dotyczącego Ukrainy jest szczególnie istotna. A przy tym szczególnie niebezpieczna i bolesna.

„Ogrywani” w sprawach międzynarodowych byliśmy, jesteśmy i zapewne będziemy wiele razy. W zasadzie każdy nasz udział w światowej polityce można by skwitować znanym powiedzeniem „cnotę stracił, a rubla nie zarobił”. Jednak czym innym jest ponosić dyplomatyczne niepowodzenia w sprawach nam odległych, a czym innym być ogrywanym w kwestiach, które dotyczą mniej lub bardziej po-

średnio, naszych granic i naszego bezpieczeństwa.

W kwestii tego, co działo się i dzieje za naszą wschodnią granicą, absencja Polski podczas niedawnego spotkania w Berlinie nie jest pierwszą naszą tak dotkliwą porażką. Choć wydaje się niemożliwe, by sprawa pokoju na Ukrainie była dyskutowana bez udziału Polski, dokładnie tak stało się w roku 2014 i 2015, gdy w Mińsku ustalano warunki zakończenia rosyjsko-ukraińskiego konfliktu o Donieck, Ługańsk i Krym. Już samo ustalenie składu grupy, która zasiadła w Mińsku do rozmów, można odebrać jako policzek dla polskiej dyplomacji, gdyż odbyło się to po uroczystościach rocznicy desantu w „D-Day” obchodzonych na Plaży Sword, gdzie lądowanie wojsk alianckich osłaniały także polskie okręty.

Podobno brak Polski przy stole rokowań był efektem starań strony ukraińskiej.

Dokładnie to samo stwierdzenie zaczęło pojawiać się w komentarzach do polskiej absencji w Berlinie, tłumacząc ukraińską niechęć do obecności naszych dyplomatów zaostreżeniem w ostatnim czasie polskiej retoryki wobec sporu z Ukrainą o uczczenie pamięci polskich ofiar zbrodni wołyńskiej.

O ile brak Polski w „formacie normandzkim” i Mińsku był bardziej kwestią naszej cnoty, o tyle w Berlinie chodziło zdecydowanie o „rubelki”. W roku 2022 i następnych latach jakość naszej cnoty nie ulegała wątpliwości, bo mało kto zachował się wobec Ukrainy tak jak Polska, ponosząca także ogromne koszty wsparcia Ukrainy. Jakkolwiek nie jest to może najdelikatniejsze, pytanie o to, w jakim stopniu zostanie nam to zrekompensowane, jest jak najbardziej na miejscu. Szczególnie teraz, gdy rąk gotowych do wyciągnięcia po możliwe profity, związane choćby z odbudową Ukrainy, jest wiele. W tym wyjątkowo aktywna w wyciąganiu dłoń Niemiec. Owszem, Niemcy przodują w zestawieniach dotyczących wielkości wsparcia oferowanego Ukrainie. Dotyczy to akurat zestawień przygotowywanych w samych Niemczech w oparciu o specyficzną metodologię, w której termin „oferowany” jest kluczowy.

To, że nie było nas w Berlinie, nie świadczy najlepiej o naszej dyplomacji. Ale to akurat pal licho. Nie mam wątpliwości, że obecny szef naszego MSZ zdoła to przeżyć, a nawet z czasem uznać za dyplomatyczny majstersztyk. Gorzej, jeśli nasz udział w korzyściach związanych z przyszłą odbudową Ukrainy będzie adekwatny do udziału w „berlińskim stole” i sprowadzi się do konsumowania marnych resztek z tego „stołu”. **S**



Fot. Adobe Stock

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

KIERUNEK: LIWONIA I KURLANDIA

Mikołaj Różycki

Łotewskie wędrówki po Liwonii i Kurlandii

ZAPISANE W KONSTYTUCJI ŁOTWY GEOGRAFICZNE KRAINY: ŁATGALIA, Kurlandia, Semigalia i Liwonia, przyciągają turystów głównie z Niemiec, rzadziej z Polski. Wypisując się ze Wschodu, ciągną ku Północy – skandynawskim sąsiadom.

Liwonia i jej skarby

By dobrze poznać ten kraj, potrzeba więcej czasu niż tydzień. Nam udało się przyjrzeć terenom Liwonii i fragmentowi Kurlandii. Ta pierwsza to przestrzeń, o którą rywalizował od XII wieku niemiecki zakon kawalerów mieczowych, Rzeczpospolita Obojga Narodów, Szwedzi, Iwan Groźny i Piotr I. Polskie ślady są tam obecne, czytając nawet pobieżnie przewodniki, można na nie natrafić bez specjalnego wysiłku. Eksplorując położony godzinę drogi na wschód od stolicy Park Narodowy Gauja, oprócz dzikiej rzeki, porośniętych starym mieszanym i gęstym lasem pagórków, strumieni, wodospadów i klifów, zatrzymaliśmy się w miastach: Sigulda i Kieś. Ten ostatni przywitał nas zamkiem i... Pieterem Brueglem (starszym). Pod zacięnym murem dziedzińca ustawiono reprodukcję obrazu „Zabawy dziecięce”, stylizując na dawną epokę placyk z przedmiotami służącymi do różnych gier uwiecznionych przez malarza. Szachy, jazda konna, szczudła, polowanie na głąszca, rzuty do celu bronią – turyści mogą ich spróbować przy asyście obsługi w średniowiecznych strojach. Zarządzanie zamkiem samorząd Kiesia oddał lokalnej organizacji rekonstruktorów historycznych. Ich inwencja i sposób przygotowania zamku wzbudziła

Zamki Sigulda, Tiuraida czy Krimulda są widoczne z dna kajaków, wysokie, strzeliste drzewa.

nasz podziw, a także konsternację, że u nas nie byłoby to możliwe z racji zbyt dużej liczby turystów. W miasteczku są jeszcze dwa miejsca, które oprócz tych polecanych przez przewodniki i blogerów koniecznie trzeba zobaczyć. Pierwsze to muzeum terroru umiejscowione w parterowym budynku blisko drogi prowadzącej do zamku. Był tam kiedyś areszt i miejsce kaźni lokalnej ludności. Zachowane pomieszczenia stały się milczącymi świadkami zbrodni NKWD i ich następców na zwykłych Łotyszach mających antykomunistyczne przekonania. Historie ludzi opisane na małych tabliczkach przypominających dawne biblioteczne katalogi są identyczne jak te nasze polskie z lat 1939–1956. Kara śmierci, wywózki na daleki Wschód, obozy pracy lub wieloletnie więzienia. Zbrojne potyczki. Świętowanie zakazanych rocznic. Szczególne zainteresowanie

wzbudziły różne powojenne historie, skala działalności zbrojnego podziemia po 1944 r., a także przypadki konspiracji wobec Niemców w latach 1941–1944.

Drugą perłą w koronie Kiesiu jest dwór z pięknym parkiem o jakże blisko nam brzmiącej nazwie Rudzka. Nie ma w tym przypadku, ponieważ podwaliny pod to

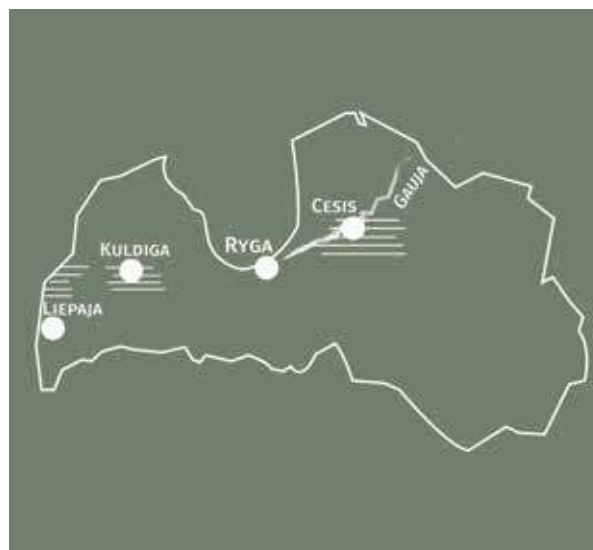
miejsce stworzył polski magnat Rudzki. Potem pałac i zielone otoczenie na modłę niemiecką rozwinęli baronowie bałtyccy, a po przetrwaniu cudem Sowietów całość trafiła pod skrzydła samorządu. Można tam posiedzieć w przepięknej scenerii dębów i kwiatów, zobaczyć aktualne wystawy czy pokazy filmów, świetnie zjeść i podziwiać niezdewastowane wnętrza, witrażowe drzwi i okna.

Park Narodowy Gauja, czyli perłka przyrodnicza Łotwy

Mowa o największym parku ze wszystkich krajów bałtyckich, rozciąga się na powierzchni 920 km². Wspomniany Kieś leży w jego sercu. Osią jest rzeka Gauja. To nad nią stawiano zamki, zaś wysokie ukształtowanie terenu połączone z mieszanym, starym i gęstym lasem daje głębokie wrażenie obcowania z zieloną, nienasyconą przyrodą. Rzeka ma silny, ale nie porywający nurt, co pozwala na szybsze niż na polskich nizinach pokonywanie sporych odległości kajakiem. Trasa z Ligatne do Siguldy, przy rekreacyjnym nastawieniu i konieczności dostosowania się do potrzeb dzieci, zajmuje około 6 godzin – a mowa o 25 km. Widoki przypominają sceny z filmów przyrodniczych o dalekiej Skandynawii czy Kanadzie. Zamki: Sigulda, Tiuraida czy Krimulda są widoczne z dna kajaka niczym wysokie, strzeliste drzewa. Wzdłuż rzeki prawie wszędzie jest ścieżka i cały park można pokonać pieszo. Co jakiś czas do zajrzenia w bok lub podejścia w górę zachęcają tablice informacyjne. I warto się skusić, bo oczy i wnętrze nacieszyć może rozlewisko bobrów, kolorowe wysokie piaskowce, pod którymi kryją się leśne oczka wodne czy też punkty widokowe na park. A jeśli dołożyć do tego fakt, że park zamieszkują niedźwiedzie, rysie czy guszcze, to wyobraźnia wchodzi na wysokie obroty. Na terenie parku infrastruktura turystyczna jest wysokiej jakości, kempingi są czyste, nowe i bogate w zaplecze do pływania czy jazdy na rowerze. Musimy pamiętać, że Łotwę zamieszkuje oficjalnie niecałe 2 mln ludzi, co w sezonie wraz z turystami daje wolumeny liczbowe i tak mniejsze niż Warszawa. Dlatego wszędzie poza Rygą, nie tylko w Parku Gauja, zachwycić Polaka może brak tłumów i pusta przestrzeń, którą smakuje się samemu, gdzie atrakcje przyrodnicze nie są ogrodzone i chronione bramkami.

Kuldīga, czyli uroki wodospadu i starego miasteczka zatrzymanego w czasie

Na zachód od Rygi w stronę wybrzeża, oprócz łąk, pól, mokradeł i lasów, warto przeznaczyć dłuższą chwilę na Kuldigę – symbol Kurlandii. Zacząć można od najszerzego wodospadu w Europie, Ventas Rumba, mierzącego około 250 metrów. Przy wysokości dwóch metrów kusi, by przejść go bez skąpania się. Nie ma tam barier, biletów, strażników... Potem szerokim, ceglany most wchodzimy do Kuldigi i co bardziej wrażliwi mogą zareagować lekkim zachwytem połączonym z niedowierzaniem: zachowując wszelkie



LEGENDA:

== Nasze miejsca

proporcje, ma się wrażenie bycia w takim Tykocinie do potęgi trzeciej. Meandrujący układ głównej ulicy i towarzyszących jej bocznych odnóży, niskie parterowe domki pamiętające daleką przeszłość, rynek zwieńczony muzeum historii miasta. Zieleń, wijące się dopływy Windawy, coś na kształt dawnego młyna, rozłożyste i dostępne brzegi dla chcących wędkować czy odpocząć. Żadnego pośpiechu, ciekawa oferta kulinarna, leniwe kawiarnie, przepiękne rękodzieła w sklepikach mocno akcentujące przyrodę Łotwy, uczucie błogości.

Bałtyckie przestrzenie

Ostatnim akordem było wybrzeże Bałtyku. Puste ostępy pomiędzy Lipawą a Pāvilostą. Doświadczenie w pełni samotnego przebywania na plaży warto jest tych 700 km podróży. Piasek pokryty niezliczoną ilością niezdeptanych śladów ptaków i ssaków takich jak sarny, zające czy kuny... Wydmy porośnięte zieloną trawą nieosłonięte barierkami. Żadnych śmieci. Żadnych dźwięków poza tymi ze świata natury. Dwa, a może trzy statki na dzień przepływające gdzieś w oddali. Las, borowina, podłoga z mchu, dywany z wrzosów. Nic dziwnego, że w tym zakątku Bałtyku zdecydowali się osiąść w XII wieku Kawalerowie Mieczowi. **S**

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **5 LISTOPADA** zdarzyło się:

1830 – Fryderyk Chopin opuścił na zawsze Polskę;

1906 – Maria Skłodowska-Curie wygłosiła swój pierwszy wykład na Sorbonie.

Jak wygląda MORDERSTWO SĄDOWE?

Przemysław Semczuk

– 7 listopada 1964 roku w Katowicach, w Dąbrówce Małej, znaleziono zwłoki 58-letniej Anny Mycek. Tak zaczęła się historia „Wampira z Zagłębia”. – To była parodia procesu. Śmiem twierdzić, że morderstwo sądowe – mówi dziennikarz **Przemysław Semczuk** w rozmowie z **Sebastianem Reńcą**.

Fot. Archiwum P. Semczuka

Tego dnia nikt nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Milicjanci uznali, że to typowe zabójstwo. Znaleźli nawet podejrzanego – męża ofiary. Został aresztowany. Gdyby nie kolejne zamordowane kobiety, pewnie zostałby nawet skazany. Zabójstwo Anny Mycek miało dla tej sprawy jednak większe znaczenie, niż mogło się wtedy wydawać. Od jej imienia nazwę przyjęła grupa operacyjna, która przez kolejne siedem lat ścigała zabójcę kobiet. Ale nie tylko...

– Nie tylko, bo była to jedyna ofiara, którą znał Zdzisław Marchwicki, któremu sąd udowodnił tamten mord i kilkanaście innych zabójstw.

– To nie był dowód, tylko poszlaka – w świetle dzisiejszych badań naukowych raczej marna. Bo oto pierwszą ofiarą seryjnego zabójcy ma być kobieta, którą zabija z zemsty, za to ostatnią na zlecenie. Pozostałe miał mordować dla zaspokojenia potrzeb. Jakich? Tego wtedy też nie rozumiano, bo ów wampir nie gwałcił. Współpracujący z milicją naukowcy nie potrafili tego wytłumaczyć.

– Mieszkańcy Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego w latach 60. i 70. żyli tym, że gdzieś w ich okolicy grasuje „Wampir”, który napada na kobiety. Jego legenda przetrwała do lat 80., a nawet 90., Ty przypomniłeś ją w swojej książce. Dlaczego?

– Wydawało się, że wszyscy znamy tę historię i że już nic nowego w tej sprawie nie można odkryć. Gdy zacząłem czytać akta, zrozumiałem, że nic nie wiemy o sprawie Zdzisława Marchwickiego. Celowo nie mówię „Wampira z Zagłębia”, bo to dwie różne sprawy. W tej historii nic nie jest proste, i mimo że właśnie mija sześćdziesiąt lat od tych wydarzeń, nic nadal nie jest jasne.

– Po zabójstwach Marii Gomółki z 15 czerwca 1966 roku w Sosnowcu i Jolanty Gierek, krewnej I sekretarza KW PZPR, w Katowicach 11 października tego samego roku śledztwo ruszyło jakby na nowo?

– To jeden z wielu mitów. Jedni mówią, że na nowo, inni, że dopiero wtedy zabrano się do pracy. Jeszcze inni, że wtedy sprawa stała się polityczna. Prawda nie pasuje do tego, jak dzisiaj stereotypowo widzimy PRL. Śledztwo na ogromną skalę prowadzono od początku. I od początku sprawę traktowano politycznie jak każdą inną. Uważano, że to prowokacja mająca na celu wzbudzenie niepokojów społecznych. Po zabójstwie Gierkówny ten motyw odrzucano. Oficerowie i współpracujący z nimi naukowcy uznali, że pomimo braku gwałtów są to zabójstwa z lubieżności. Tak wtedy nazywano motyw seksualny. Choć nie rozumiano zupełnie, na czym polega. Jedyną osobą, która wciąż wierzyła w motyw polityczny, był Jerzy Gruba, szef grupy operacyjnej „Anna”. I choć to on kierował śledztwem, grupa skupiała się na innych hipotezach.

– Pod koniec października 1981 roku „Wiadomości Katowickie” wydawane przez Śląsko-zagłębiowską Solidarność pisały, że winy zarzucane braciom Marchwickim „nie zostały całkowicie udowodnione”.

– To twierdzenie opierało się na krążących plotkach, ale gdy czyta się akta, widać to wyraźnie. To była parodia. Łamano prawo. Wątpliwości powinny być brane na korzyść

oskarżonego, a sędzia Władysław Ochman podkreślał czerwoną kredką to, co pasowało do Marchwickiego. Świadek rozpoznał Marchwickiego i twierdził, że był od niego wyższy. Gdy Marchwicki wstał, okazało się, że jest niższy. Po prostu widział go z daleka, do tego było niemal ciemno, a od zdarzenia minęło kilka lat – ale i tak uznano zeznanie za wiarygodne. Pióro zabrane ofierze było takie samo, a nie to samo. Płaszcz podobny. Zegarek miał inny numer seryjny. Portmonetkę ofiary znaleziono na śmietniku, przy którym przechodził Zdzisław. Notabene u mnie w domu była identyczna portmonetka. Bo wtedy wszyscy mieli takie same.

OFICEROWIE
I WSPÓŁPRACUJĄCY
Z NIMI NAUKOWCY
UZNALI, ŻE POMIMO
BRAKU GWAŁTÓW
SĄ TO ZABÓJSTWA
Z LUBIEŻNOŚCI. TAK
WTEDY NAZYWANO
MOTYW SEKSUALNY.

– W tym samym tekście solidarnościowy dziennikarz pisał, że milicja poszukuje mordercy, „który nadal działa, mordując następne ofiary w identyczny sposób, jaki pisywano Marchwickim”. I dalej autor tekstu pytał: „Czyżby więc prawdziwy morderca jeszcze pozostawał na wolności od tamtego czasu?”

– To potwierdza krążące na Śląsku plotki. A jak wiemy, w każdej jest ziarno prawdy. Owszem, kobiety nadal ginęły, ale sposób działania był zupełnie inny. Później okazało się, że mordowali je Joachim Knychala i Mieczysław Zub. Był jeszcze Krzysztof Plewa, który podduszał ofiary, a gdy traciły przytomność, gwałcił je. Był jeszcze jeden „Wampir”, na którego niedawno natknąłem się w archiwalnych dokumentach. Tamto śledztwo trwało jeszcze dłużej, >

ale nikt nigdy o nim nie usłyszał. Prawda jest taka, że ostatnia ofiara zagłębiowskiego „Wampira” zginęła w 1968 roku. Mówię ostatnia, bo zamordowana w marcu 1970 roku Jadwiga Kucianka nie była ofiarą tego sprawcy. Modus operandi był inny. Poza tym Zdzisława aresztowano w styczniu 1972 roku. Gdyby był poszukiwanym mordercą, należało zadać pytanie, dlaczego przestał zabijać. Zamiast tego zorganizowano spektakl mający przekonać społeczeństwo o jego winie. Ogromną rolę odegrali w nim wierni władzom dziennikarze. Współpracująca ze Służbą Bezpieczeństwa redaktor Barbara Seidler, TW „Januszek”, wypisywała bajki o komputerze, który na długiej liście podejrzanych miał wskazać Marchwickiego. Niestety do dzisiaj nie mamy takich komputerów. Długa jest za to lista osób, na które donosiła ta dziennikarka.

– 50 lat temu w Domu Kultury Zakładów Cynkowych „Silesia” w Katowicach ruszył proces, który nazwałeś teatrem.

– Bo to był spektakl. Władze wykorzystwały proces propagandowo, aby przekonać społeczeństwo, że milicja potrafi schwytać mordercę, a sąd surowo się z nim rozprawi. Chodziło o to, by ludzie czuli się bezpiecznie. Zresztą nie był to jedyny przypadek. Podobnymi spektaklami były procesy krakowskie Władysława Mazurkiewicza i Karola Kota. Spektaklem był proces aferzystów mięsnych zakończony wyrokiem śmierci dla Stanisława Wawrzeckiego i słynny proces żywardowski, w którym wydanie wyroku na żywo relacjonowano w „Dzienniku Telewizyjnym”. Z drugiej strony, obywatele lubili takie „igrzyska”.

– Na ławie oskarżonych zasiadło sześć osób, w tym pięć z rodziny Marchwickich. Nie były aniołami.

– Sześć osób oskarżonych o różne przestępstwa. Przestępstwa, których ciężar był nieporównywalny z ogromną liczbą morderstw. Siostra Marchwickich odpowiadała za to, że z mięsa zrabowanego z siatki ofiary usmażyła kotlety i przyjęła od brata pierścione należący do ofiary. Jej syn natomiast ukradł kilka reflektorów samochodowych z fabryki, w której pracował. Na tym procesie mówiono sporo o różnych przestępstwach, a najmniej o morderstwach. Rodzina faktycznie miała sporo na sumieniu. Ale żadna rodzina nie jest krystalicznie czysta. To byli prości ludzie, nazwijmy to, z nizin społecznych. Do tego dodajmy koloryt PRL-u. Wszyscy kombinowali, aby żyć. Zdzisław kradł w kopalni złom i sprzedawał go w skupie. Jak się udało, to skombinował parę worków cementu. Handlował, czym się dało. Była wódka i przemoc. Ale trzeba podkreślić, że to nie on był sprawcą przemocy. On był ofiarą. Sprawcą była jego żona. I to ona wskazała go milicji, licząc na nagrodę, milion złotych. Nie dostała nic.

– Jan Marchwicki jako jedyny z oskarżonych miał wyższe wykształcenie. Dostał wyrok i również go stracono.

– W trakcie procesu zmieniono mu zarzut, bo zbyt dużo mówił, wyciągał niewygodne sprawy. Pisał mnóstwo listów. W aktach zachował się nawet list do sekretarza generalnego ONZ. Oczywiście nie dotarł do adresata, ale brano pod uwagę, że w końcu jakieś pismo może zostać przeemycone z wię-

zienia i wysłane. Lepiej było go uciszyć.

– Jan dużo wiedział o nadużyciach i korupcji na Uniwersytecie Śląskim, gdzie pracował. Znał śląskie środowisko homoseksualistów.

Znał Jadwigę Kucię, ostatnią ofiarę „Wampira”.

– Znał, ale to nie było nic wyjątkowego.

Znał ją jak wiele innych osób pracujących na uczelni. Podkreślano, że miał z nią konflikt. Podobno miała ujawnić jego homoseksualizm.

Bzdura, wszyscy

wiedzieli, że Jan jest... tu powinienem użyć słowa, które

wtedy było powszechnie używane – nikt wówczas nie mówił „homoseksualistą”. Sędzia Ochman do zasiadającego na ławie oskarżonych jego kochanka zwracał się z drwiną: „męska narzeczona”. Dzisiaj to jest nie do pomyślenia. Żadnego konfliktu z Kucianką nie było. Jana należało uciszyć z powodu afery łapówkowej na uniwersytecie. Brał w tym udział i znał wszystkie szczegóły.

– Śląski dziennikarz Tomasz Szymborski ujawnił m.in., że Jan Marchwicki był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

– I wykorzystywał to na sali sądowej. Wykrzykiwał nazwiska esbeków i wyciągał publicznie sprawy, nad którymi pracowali.

– SB również prowadziła swoje śledztwo pod takim samym kryptonimem jak MO.

– To było rutynowe działanie. Wszystkie śledztwa kryminalne miały swoje odpowiedniki w Służbie Bezpieczeństwa. Tak działało wspomniane wcześniej upolitycz-

W ŚLEDZTWIE BYŁO MNÓSTWO ZEZNAŃ ŚWIADKÓW, KTÓRYCH DZISIAJ NIKT NIE WZIAŁBY POD UWAGĘ. CZASEM SĄ TO ZEZNANIA ZABAWNE – OSKARŻONY JEST ZABÓJCĄ, BO MA WYGLĄD ZABÓJCY.

nianie spraw. W każdym przestępstwie doszukiwano się motywów mających godzić w podstawy ustroju socjalistycznego. Typowa paranoja władzy autorytarnej.

– Wśród śląskich dziennikarzy czasami wspomina się Henryka Marchwickiego, który wyszedł na wolność w latach 90. i szukał pomocy m.in. w redakcjach. Henryk do śmierci mówił głośno o tym, że w śledztwie go zastraszano, grożono pobiciem.

– Henryk był alkoholiem. Po kilku dniach był w stanie powiedzieć wszystko, byle się napić. I mówił. Po latach był już trzeźwy i próbował walczyć o prawdę. Spadł ze schodów. Ze złamanym kręgosłupem wszedł na piętro i z głową w umywalce utopił się we własnej krwi. Zadziwiający pech.

– Można powiedzieć, że na sprawie „Wampira” wyłynął Jerzy Gruba, który niedługo później został komendantem wojewódzkim MO w Katowicach. W stanie wojennym, gdy był na tym stanowisku, w województwie katowickim najbrutalniej rozprawiono się ze strajkującymi robotnikami.

– Ostatecznie nie został on skazany za strzelanie do robotników w kopani „Wujek”, ale dotarłem do jego teczki personalnej. Cała kariera Gruby opierała się na sprawie Marchwickiego. I nie była to jedyna ciemna karta w jego życiorysie.

– W swojej książce napisałeś, że pracując nad nią, raz byłeś przekonany o jego winie, by już po chwili uznać go za

niewinnego. „Nie udało mi się znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy Zdzisław był «Wampirem». Mam jednak na ten temat własne zdanie”. Jakie to zdanie?

– Wtedy miałem jeszcze cień wątpliwości. Teraz już wiem, że Zdzisław Marchwicki nie był seryjnym zabójcą kobiet. Z toruńską kancelarią Narodowa Marszałek pracujemy, by ta sprawa wróciła do sądu. Prawniczki znalazły w aktach wiele nieprawidłowości. Mnóstwo zeznań świadków, których dzisiaj nikt nie wzięby pod uwagę. Czasem są to zeznania zabawne – oskarżony jest zabójcą, bo ma wygląd zabójcy. To by było nawet śmieszne, gdyby nie skończyło się dla oskarżonego na szubienicy. To była parodia procesu. Śmiem twierdzić, że morderstwo sądowe. Co ciekawe, przy okazji udało się znaleźć prawdziwego „Wampira”.

– Masz na myśli Piotra Olszowego?

– Olszowy to kolejny mit, który został utrwalony już w latach 90. Prawdziwy „Wampir” pojawia się w aktach. Przesłuchano go jako świadka i wypuszczono. Profilerka opracowująca dla nas profil zabójcy nie miała najmniejszych wątpliwości, że to jest poszukiwany morderca. To jednak nie ma dla nas znaczenia. Mamy podejrzanego, ale po latach nie da się tego udowodnić.

– Możemy spodziewać się kolejnej Twojej książki o jakiejś historii kryminalnej z czasów PRL?

– Już niebawem, na początku przyszłego roku, ukażą się „Nieuchwytni”. To dwie historie. Porwanie i zabójstwo Bohdana Piaseckiego i tak zwane napady warszawskie. Napad na kasjerkę sklepu „Chełmek”, zabójstwo milicjanta, napad na konwój przed pocztą i napad na konwój CDT przed bankiem przy Jasnej. Te historie się łączą. Oficjalnie do dzisiaj nie zostały wyjaśnione i tak samo jak wiele innych spraw obrosły mnóstwem mitów i legend. W dużej mierze za sprawą samych dziennikarzy, którzy nie widząc na oczy akt, piszą teksty w poważnych tygodnikach.

– Zaskoczysz czytelników nowymi informacjami dotyczącymi tych dwóch historii?

– Mocno zaskoczę. Odtajnione akta, które do niedawna tkwiły w zbiorze zastrzeżonym, ukazują rozwiązanie przynajmniej części zagadek. Historia jest wyjątkowo filmowa. Aż trudno uwierzyć, ale pojawia się w niej nawet jeden z seryjnych zabójców. Tego wątku nikt do dzisiaj nie poznał, bo akta były tajne. To będzie wyjątkowo sensacyjna opowieść o czasach PRL i działaniu służb.

SĘDZIA OCHMAN
DO ZASIADAJĄCEGO
NA ŁAWIE OSKARŻONYCH
KOCHANKA JANA
ZWRACAŁ SIĘ Z DRWINĄ:
„MĘSKA NARZECZONA”.

Przemysław Semczuk
– dziennikarz,
publicysta, autor
literatury faktu.
Specjalizuje się
w tematyce kryminalnej
i historii Polski okresu PRL.
Autor reportaży historycznych

„Czarna Wołga. Kryminalna historia PRL”, „Wampir z Zagłębia”, „Kryptonim «Frankenstein»” oraz „M jak morderca”. Napisał także biografię małego fiata. Na YouTube prowadzi kanał „Dział Archeo”, na którym publikuje podcast „Żywioty” o wypadkach i katastrofach w PRL. 

Sztuczna inteligencja i jej PRAWDZIWE OFIARY



Fot. Adobe Stock

21 października likwidator radia Kraków ogłosił, że w jednym z nadawanych przez tę lokalną rozgłośnię Polskiego Radia programów **nie będzie już żywych prowadzących**. Na okres próbny, który miał trwać kwartał, zastąpiły ich trzy byty wykreowane przez sztuczną inteligencję: sztuczny prowadzący, sztuczna prowadząca i sztuczna niebinarna osoba aktywistyczna. Prawdziwi pracownicy stracili swoją pracę, choć jak pokrętnie tłumaczył szef radia, nic złego się nie stało, bo i tak nie byli przecież zatrudnieni na umowach. W sieci zawrzało, a niezbyt udany eksperyment został zakończony po tygodniu, zostawiając nas jednak z masą pytań.

| Krzysztof Karnkowski |

To, co wydarzyło się w Krakowie, było kosztownym dla kilku osób eksperymentem społecznym likwidatora Marcina Pulita, zarazem jednak też wydarzeniem mogącym otwierać oczy na stojące za ekspansją SI zagrożenia. Tak się też stało, przede wszystkim za sprawą

zwalnianych z pracy dziennikarzy i ich zaniepokojonych sprawą kolegów. „To uchylenie furtki – a może wręcz – otwarcie bramy, do świata, w którym doświadczonych pracowników od lat związanych z sektorem medialnym oraz osób zatrudnionych w branżach kreatywnych zastą-

pią programy. To zarazem brama do świata pozorów i manipulacji” – napisali w swoim oświadczeniu, które dość szybko podpisane zostało przez kilka tysięcy osób. Pulit, być może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, uruchomił proces, o którym w Polsce było cały czas dość cicho,

choć na przykład Stany huczą z jego powodu od dawna.

Piosenki Orwella

W „Roku 1984” George Orwell, opisując życie warstw niższych imperium Wielkiego Brata, przewiduje taśmową produkcję dzieł kultury najniższej jakości, w tym mechanicznie tworzonych piosenek, powstających dzięki specjalnemu kalejdoskopowi, nazywanemu „wersyfikatorem”. I właśnie jak wersyfikatory działają przeciwieście liczne odnogi sztucznej inteligencji, które korzystając z istniejącej już ludzkiej twórczości, generują rzeczy pozornie nowe, na ogół jednak w dużym stopniu odtwórcze. Czy w przyszłości wpłynie to na rozwój sztuki? Zapewne przede wszystkim na jej najbardziej użytkowe formy: proste komunikaty tekstowe, obrazy do wieszania w biurach i gabinetach, muzykę do puszczenia w tle. Być może czeka nas moment zachłystnięcia się nowymi możliwościami, po którym znajdziemy formę współistnienia twórczości ludzkiej i zautomatyzowanej. To jednak temat na inną opowieść, odrębne rozważanie. Obok kwestii artystycznych są niestety również te społeczne. A tu sytuacja zaczyna wyglądać miejscami dość nieciekawie.

Dramat początku

Zrządzeniem losu dosłownie dzień po tym, gdy krakowskie Radio Off postanowiło wyrzucić dziennikarzy, by do gry weszły boty, miałem możliwość wzięcia udziału w odbywającej się jako wydarzenie towarzyszące festiwalowi Cinemaforum 2024 debacie „Transformacja cyfrowa w kulturze. Czy sztuczna inteligencja odbierze nam pracę”. Większość dyskutantów w przyszłość patrzyła z większym lub mniejszym optymizmem, co jednak istotne, te nastroje tonował Matt Subieta, reżyser, a zarazem twórca kreatywny AI, a więc będący najbliższym centrum wydarzeń uczestnik roz-

mowy. Subieta pytany, czy w nowej sytuacji widzi więcej szans czy zagrożeń dla ludzi kultury, twierdził, że SI szansą może być dla ludzi mających już ugruntowaną pozycję zawodową, artystyczną czy finansową, pozwala bowiem zoptymalizować i przyspieszyć procesy produkcyjne. Zupełnie inaczej sytuacja wygląda z punktu widzenia osób zaczynających dopiero swoją zawodową czy artystyczną drogę. „Dla ludzi młodych, którzy wchodzi na rynek, to jest katastrofa. Widać to po zatrudnieniu studentów po szkołach filmowych, twórców animacji czy programistów. AI nie będzie zwalniać ludzi, bo już zwolniła mnóstwo ludzi – kontynuuje Subieta. – W branży reklamowej, jeżeli chodzi o grafików, art directorów, copywriterów, są agencje, w których te działy poleciały w 80%”. Warto wspomnieć, że i tu sztuczna inteligencja wkroczyła na polską scenę z impetem również za pośrednictwem instytucji państwa. Oto bowiem Lasy Państwowe sezon grzybowy

postanowiły wykorzystać jako okazję do kampanii społecznej mającej oduchać grzybiarzy śmiecenia. Atrakcyjne i bardzo sugestywne grafiki przedstawiają często spotykane wśród paproci, mchów i drzew odpady jako plastikowe czy metalowe grzyby. Znakomity pomysł, znakomite wykonanie, tyle że do tego drugiego nie zatrudniono już grafików, a komputery.

Głosy ostrzegawcze

Potężne korporacje pracują nad swoimi systemami sztucznej inteligencji, a państwa i organizacje międzynaro-

dowe nad sposobami jej uregulowania. W tle tych prac trwają rozmaite protesty, czy to pracowników obawiających się utraty pracy, czy aktorów chcących uregulowania kwestii skanowania ich wyglądu i głosu na użytek modeli AI, wreszcie – aktywistów uważających, że poszczególne modele nie są wystarczająco sprawdzone pod kątem bezpieczeństwa, a przejmują coraz większy wpływ na rozmaite dziedziny życia. W raporcie zamówionym kilka miesięcy temu przez rząd Stanów Zjednoczonych można było przeczytać, że rozwój SI może zdestabilizować globalne bezpieczeństwo na poziomie zbliżonym do tego, który wywołać mogłoby użycie broni nuklearnej.

Na razie wydaje się, że wejście sztucznej inteligencji do zawodów kreatywnych może mieć podobne skutki dla przywołanych już młodych twórców, którzy tracą możliwości komercyjnego wykorzystania własnych umiejętności. Oczywiście część z nich szanse znajdzie pewnie w kreowaniu SI i poprawiana

jej błędów, jednak takiej pracy nie wystarczy dla wszystkich. To nie pierwszy tego typu przewrót w kulturze i technice. Fotografia nie zabiła malarstwa, syntezy i techniki samplingu nie wykończyły żywej muzyki. Kultura ma swoje funkcje społeczne, potrzebuje czynnika ludzkiego w procesie twórczym i odtwórczym. Stoimy jednak w obliczu zupełnie nowej sytuacji, która może przynajmniej tymczasowo utrudnić wielu z nas życie – i to w imię uczynienia go łatwiejszym. Trzeba się na to przygotować. **S**

SZTUCZNA INTELEGENCJA TO KATASTROFA DLA MŁODYCH LUDZI PRÓBUJĄCYCH SIĘ W ZAWODACH KREATYWNYCH, GRAFICE CZY REKLAMIE.

To naprawdę niewielkie koszty ZA WOLNOŚĆ



Mirosława Ołdak jest osobą skromną, bardzo pracowitą, matką trzech córek – absolwentek szkół wyższych, doczekała się kilkorga wnucząt. Kiedy dorastała, nie sądziła, że będzie walczyła o wolną Polskę. Rozmawiając o podziemnej działalności, zawsze podkreśla pierwszeństwo nieżyjącego od kilku lat męża Edwarda.

| Mateusz Wyrwich |

Fot. M. Wyrwich

Pochodzi z typowej wówczas chłopskiej rodziny, gdzie rodzice gospodarowali w nie-dużym gospodarstwie podlasko-mazowieckiej wsi Natolin. Nie ma wielkich tradycji rodzinnych w walce o wolną Polskę.

Choć, o czym zawsze głośno mówiono w rodzinie:
– Brat mamy, Jerzyk Tymiński, walczył w czasie II wojny światowej pod Monte Cassino – opowiada Mirosława

Ołdak. – Mając szesnaście lat, wyszedł z Andersem z Rosji i przeszedł z generałem cały szlak bojowy. Natomiast ojciec mojej mamy został prawdopodobnie zamordowany przez Niemców za antyniemiecką działalność w czasie okupacji. Pod koniec wojny przyjechało po niego gestapo i do dzisiaj nie ma o nim wieści. Mama szukała swojego taty przez Czerwony Krzyż, ale bez rezultatu. Przepadł i koniec. Ślady kończą się w zambrowskim kościele, gdzie był ostatnio widziany jako więzień dołączony do zgromadzonej przez Niemców grupy ludzi z tamtejszych okolic. Ot, wszystko.

Mirosława Ołdak pytana, co wpłynęło na to, że podjęła działalność opozycyjną, odpowiada:
– Właściwie robiłam to mimowolnie. To był przecież obowiązek wszystkich. Wiadomo, jaka ta Polska biedna była za komuny. Jak długo można było w tym wytrzymać? A poza tym dołączyłam do działalności męża, a przecież wiadomo, że gdzie mąż, tam i żona. Oboje widzieliśmy, jakie to „dobro” niesie komunizm...

Pracowite dzieciństwo

Mirosława urodziła się w końcu lat pięćdziesiątych na pograniczu Mazowsza. Było ich czworo rodzeństwa: dwie siostry i dwóch braci. Rodzice gospodarowali na kilkunastu hek-

tarach. Mieli krowy, parę koni, świnie, owce, barany. Do czwartej klasy szkoły podstawowej chodziła do Przewozu Nurskiego, gdzie klasy były łączone, później do oddalonej o kilka kilometrów

miejsowości Nur. Zarówno pierwsze lata szkoły podstawowej, jak i późniejsze nie wywarły na niej specjalnego wrażenia.

– Wówczas w jakiś szczególny sposób na wsi nie poświęcano uwagi szkole. Chyba że ktoś miał jakieś wybitne uzdolnienia – podkreśla

kiedy baran rzucił się na sąsiada czy kogut biegał jak wściekły, widząc czerwony sweter.

Życie młodej dziewczyny nabrało tempa, kiedy rozpoczęła naukę w szkole zawodowej na warszawskiej Ochocie. Zamieszkała na Woli i związała się, dzięki szkolnej koleżance, z kościelnym środowiskiem świątyni pw. Świętego Józefa Oblubienica Najświętszej Marii Panny na warszawskim Kole.

Wielkie miasto już nie takie wielkie

– Miałam zaledwie szesnaście lat, kiedy koleżanka, u której mieszkałam, wprowadziła mnie w to środowisko – wspomina Mirosława Ołdak.
– Zawsze byłam blisko Kościoła, ale te wiejskie katechezy czasem mnie nudziły. Tu po raz pierwszy spotkałam się z bardzo atrakcyjną formą przekazywania wiary. Tutejszy wikary ksiądz Feliks Sienkiewicz gromadził wokół siebie spore grono młodzieży. Nie tylko dlatego, że prowadził niezwykle ciekawie katechezy, ale też takie ludzkie pogadanki

ROK 1978 PRZYNIÓSŁ MAŁŻEŃSTWU OŁDAKÓW DWIE WIELKIE RADOŚCI. PIERWSZĄ: CÓRKĘ, W PRZEDDZIEŃ ZAŚ JEJ URODZIN KONKLAWĘ DOKONAŁO WYBORU KAROLA WOJTYŁY NA PAPIEŻA.

Mirosława Ołdak. – Po pierwsze, kiedy byłam młodsza, to musiałam zaganiać krowy, później je paść, jako dwunastolatka opiekować się swoim młodszym rodzeństwem czy kuzynostwem. Atrakcji wiele nie było: szkoła, chrzty, wesela czy pogrzeby. Wydarzeniem dla dzieciaka było,

religijne. No i w każdą środę, co było dla mnie czymś niezwykle ważnym, uczestniczyliśmy w nowennie. Kilkadziesiąt młodych ludzi gromadziło się wokół księdza, który organizował nam w sali katechetycznej dyskotekę czy pokazy filmów, co też bardzo integrowało środowisko. Z czasem >

ksiądz stał się dla mnie ogromnym autorytetem. Nie tylko jako kapłan, ale też jako człowiek.

Szybkie dorastanie

Po szkole Mirosława Ołdak szybko poszła do pracy, co wówczas było czymś naturalnym. Codziennie skoro świt dojeżdżała do sto-

licy z podwarszawskiej Kobyłki, gdzie w międzyczasie rodzice kupili dom. Niebawem też, po skończeniu szkoły, poznała podczas potańcówki swojego przyszłego męża Edwarda.

Zostali narzeczeństwem.

– No i do ślubu doszło szybko, ponieważ mój przyszły mąż miał zostać ojcem chrzestnym kuzynki Emilki – wspomina Mirosława. – Wybieraliśmy się poza Warszawę i choć miałam już skończone osiemnaście lat, matka decydowała, czy mnie puści, czy nie. Sie-dzimy któregoś dnia w domu i mama do nas mówi: „No, jak to tak, będziecie jechać razem na chrzciny tak bez ślubu?”. Wtedy, przynajmniej w mojej rodzinie, nie do pomyslenia było, by dziewczyna mogła pojechać na kilka dni sama z chłopakiem. No i wzięliśmy ślub przed wyjazdem na chrzciny. Po ślubie zamieszkaliśmy u teściów w jednopokojowej izbie. Później wynajęliśmy mieszkanie, mając w perspektywie oczekiwanie kilkunastu lat na spółdzielcze lokum. Zarabiałam jakieś grosze. Na wynajem szła jedna pensja, mimo że wynajmowaliśmy mieszkanie pod Warszawą. A z drugiej strony mówiono, że komunizm ma takie wielkie sukcesy. Obiecano nam mieszkanie z FSO, ale co roku przekładano decyzję o przydziale. Kilka lat później zrezygnowaliśmy z książeczki

mieszkaniowej, wzięliśmy kredyt i zaczęliśmy sami budować dom sposobem gospodarczym na działce rodziców męża. Nie chcę dzisiaj pamiętać tej komunistycznej Polski. Tego upadłania ludzi. Tego wystawiania w wielogodzinnych kolejkach za wszystkimi podstawowymi produktami. Gdzieś

w połowie lat osiemnastych na warszawskiej Starówce, bo tam pracowałam, w jednym z mięsnych sklepów pokazał się salceson bez kartek, tzw. czarny, taki świeży, pachnący. Cała

rodzina się tym zatrula. Tak to było z tym komunizmem. Takie niby ładne hasła, a tak zatrute. Takie fałszywe.

Wielkie nadzieje

Rok 1978 przyniósł małżeństwu Mirosławy i Edwarda Ołdaków dwie wielkie radości. Pierwszą: córkę, w przeddzień zaś jej urodzin konklawe dokonało wyboru Karola Wojtyły na papieża.

– Budzę się rano po porodzie i dowiaduję o Janie Pawle II. Zastanawiam się, śni mi się to, czy nie? To może jest jakiś szok poporodowy, zastanawiam się. Bo tyle szczęścia naraz. Okazało się, że mi się nie śniło. Katarzyna jest dziś katechetką. Z mężem Pawłem działają w Kościele Domowym.

Czas biegł. Nic się w Polsce nie zmieniało. Jednak, jak podkreśla Mirosława Ołdak, po wizycie Jana Pawła II w Polsce czuło się, że coś się wydarzy. Jednak co? Nie miała wyobrażenia. Aż tu nagle w tej PRL-owską stagnację wkroczyły sierpniowe strajki. Mirosława nie brała w nich udziału, ponieważ była na urlopie macierzyńskim po urodzeniu drugiej córki. Pracujący wówczas w warszawskiej Fabryce

Samochodów Osobowych mąż Edward już od pierwszych godzin strajku wziął w nim udział i wszedł do komitetu strajkowego. Później był współzałożycielem „S” w fabryce. Był też delegatem na Walne Zebranie Delegatów Region Mazowsze.

– Można powiedzieć, że na jakiś czas straciłam męża – wspomina Mirosława Ołdak. – Tak się zaangażował w Solidarność, że prawie nie był w domu. Wszystkie prace domowe odstawiał na bok, nic nie było ważne, kiedy ojczyzna potrzebowała. Choć czasem byłam na niego trochę zła, bo wszystko robiłam w domu, to absolutnie go popierałam. Wtedy wydawało mi się, że będzie coś lepiej. Ale co? Znowu nie miałam, i w tym wypadku, takiej świadomości politycznej, żebym mogła nakreślić, co z tych miesięcy prawie wolnej Polski wyniknie. Jaka będzie przyszłość naszego kraju? Ale byłam wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Stan wojenny

Zaczął się dla Mirosławy i Edwarda Ołdaków dość typowo. Brak audycji w radiu i program telewizyjny. Edward następnego dnia pojawił się w fabryce i wziął udział w strajku okupacyjnym, który został po dwóch dniach rozbity. Kilkudziesięciu jego uczestników aresztowano, po czym wyrzucono z pracy z tzw. wilczym biletem, w tym Edwarda, który „dostał” pracę dopiero po czterech latach w wołomińskiej hucie szkła. Kilka miesięcy później powołany został na trzymiesięczne ćwiczenia wojskowe.

– Od momentu, kiedy Edek został wypuszczony z aresztu, siedział zdaje się nie więcej jak 48 godzin, rozpoczęliśmy kolportaż ulotek – wspomina Mirosława Ołdak. – Najpierw na terenie Kobyłki, później w Wołominie i właściwie w całym powiecie. Nie pamiętam już, w którym tygodniu stanu wojennego, może pierwszym,



Bałam się o dzieci, ale zawsze byłam pewna, że jeśli nas aresztują, to równie troskliwie jak my zajmą się dziewczynkami teściowie czy rodzice.

może następnym, dostaliśmy pierwsze gazety do kolportażu. Chyba „KOS”. Wkrótce „Tygodnik Wojenny”, który niebawem drukowaliśmy u nas w domu na sicie. W kolejnych tygodniach zaczęła już docierać do nas prasa z całego kraju. No i z czasem niezliczone ilości książek. Część z nich również wyszła spod naszego offsetu. Najbardziej bałam się, kiedy mieliśmy tak rozklekotany offset, że było słyhać jego pracę na ulicy. Można powiedzieć, że każdego dnia drżałam. Ale już następnego mniej. Z czasem przyzwyczałam się tak, że tę naszą podziemną działalność uważałam za coś zupełnie normalnego. Edek szedł „do pracy” w sąsiednim budynku, do drukarni, jak to drukarz, a że nielegalny, to inna sprawa. Strach nas oblatywał, jak widzieliśmy jakiegoś milicjanta koło naszego domu. Nasza działalność z czasem stała się tak naturalna, że pozbawiona lęku. Na pewno bałam się o dzieci, ale zawsze byłam pewna, że jeśli nas aresztują, to równie troskliwie jak my zajmą się dziewczynkami teściowie czy rodzice. Wiem, że czasem krytykowano nas, że je narażamy. Oczywiście, rodzina. Ale taki był nasz wybór. I Pan Bóg uchronił je przed niebezpieczeństwem czy może dramatem. Ale pamiętam, że raz się wściekłam na Edka, że zniszczył farbą nowy regał na książki, za którym tyle tygodni stało się w kolejce. Zapisy były na ten mebel. Kupiliśmy go i to nie za małe pieniądze. Szkoda było tego regału, a co tam regał, pomyślałam, jak Polsce jest potrzebna prawda.

Kiedy Mirosława Ołdak wróciła w 1982 roku do pracy po urlopie macierzyńskim, rozszerzyła swoją działalność. Punkt przyjęć pralni spółdzielni „Zjednoczenie”, w której pracowała w Warszawie, najpierw na Kopernika, a od połowy lat osiemdziesiątych na Długiej, stał się punktem kontaktowym dla kurierów z Warszawy czy kraju.

– To czasem było nieostrożne, ale to świetne punkty w Śródmieściu. Ci, którzy przyjeżdżali spoza Warszawy, nie musieli się włóczyć po mieście. Przekazywałam, co miałam przekazać, albo odbierałam od nich, co mieli dla nas – wspomina Mirosława Ołdak. – Chodziło głównie o informacje z regionów. Czasami dostawali diapozytywy prasy czy książek i wracali do siebie. Bywało, wcale nierzadko, że działacze, z którymi mieliśmy bliższy kontakt, zatrzymywali się u mnie na kawę i prowadziliśmy Polaków rozmowy. Kiedyś nawet do mojej wspaniałej kierowniczkę Teresy Dziewiątkiewicz, do której miałam olbrzymie zaufanie, że absolutnie mnie nie wyda, zadzwoniła prezes naszej spółdzielni z takim oto tekstem: „Powiedz koleżance, żeby

– Kilka dni wcześniej przyszedł do nas architekt, który nadzorował budowę naszego domu. Miał tzw. bufetowe kontakty z funkcjonariuszami SB. No i któryś, nie wiem czy celowo, czy nie, chlapnął, że za tydzień będzie rewizja u Ołdaków. Architekt przekazał nam tę informację. Wynieśliśmy wszystko trefne z domu, z posesji. Ale po tygodniu nic się nie działo, więc Edek przyniósł książki z powrotem – wspomina Mirosława Ołdak. – No i weszli kilka dni później. Służba Bezpieczeństwa skonfiskowała nam dwie furgonetki cennych książek. Edek musiał sprzedać jeszcze swoją kolekcję unikalnych podziemnych znaczków, bo trzeba było zapłacić dużą grzywnę na kolegium. No, ale to naprawdę niewielkie koszty za wolność.

PUNKT PRZYJĘĆ PRALNI SPÓŁDZIELNI „ZJEDNOCZENIE”, W KTÓREJ PRACOWAŁA W WARSZAWIE, NAJPIERW NA KOPERNIKA, A OD POŁOWY LAT OSIEMDZIESIĄTYCH NA DŁUGIEJ, STAŁ SIĘ **PUNKTEM KONTAKTOWYM** DLA KURIERÓW Z WARSZAWY CZY KRAJU.

przestała przyjmować ludzi z Solidarności, bo są na nią donosy”.

W 1986 roku „bezpieczna” egzystencja Mirosławy i Edwarda Ołdaków się skończyła. Pewnego przedpołudnia wkroczyła na ich posesję Służba Bezpieczeństwa. Przeprowadzono drobniąrgową rewizję. Zarekwirowano ramki do sitodruku, prasę, książki – w sumie dwa samochody bibuły. Zaaresztowano Edwarda. Przesiedział kilka dni w areszcie, ale skazano go tylko na kilkutyśięczną grzywnę za „gromadzenie” nielegalnych druków.

Po tej „wpadce” działalność podziemna Mirosławy i Edwarda Ołdaków znacznie została ograniczona. Przez lata byli wyrывkowo obserwowani przez SB. Ich dom był poddawany rewizji. Nie mieli paszportów. Choć Edwardowi proponowano paszport za... cenę współpracy. W wolnej Polsce Mirosława podjęła pracę w miejscowej szkole. Edward był zatrudniony w wołomińskiej hucie szkła aż do jej likwidacji. Zmarł w lutym 2010 roku odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. **S**

CO W ZWIĄZKU

NSZZ
Solidarność**MARCIN KRZESZOWIEC**

Szczecińska „S” W OBRONIE MIEJSC PRACY

Ponad 500 osób protestowało 28 października pod budynkiem Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie. Wyraziły w ten sposób swój sprzeciw wobec likwidacji miejsc pracy w regionie.

Z końcem listopada ma zostać zamknięta szczecińska sekcja PKP CargoTabor, a wraz z nią na bruk trafi 143 pracowników.

O swoje miejsca pracy niepokoją się także zatrudnieni w Elektrowni Dolna Odra, gdzie pracuje ponad 800 osób. Wygaszane są tam bloki węglowe, które ma zastąpić nowoczesna elektrownia gazowo-parowa. Do obsługi nowych instalacji potrzebne będzie 10 razy mniej pracowników.

Zwolnienia nie ominą też pracowników Poczty Polskiej. W skali

kraju program dobrowolnych odejść pracowniczych ma objąć 9300 osób.

W trudnej sytuacji znalazły się także Zakłady Chemiczne „Police” z Grupy Azoty. W spółce zatrudnionych jest około 2,5 tys. osób, a w podmiotach zależnych kolejne 700. Polska firma zajmuje drugie miejsce w UE pod względem produkcji nawozów azotowych i wieloskładnikowych. W ostatnim czasie zlikwidowano tam 250 etatów, a nowe władze spółki opracowują plan naprawczy. Problem stanowi wysoki import nawozów z Rosji i Białorusi, wysokie ceny gazu oraz 1,07 mld straty netto za 2023 rok.

„S” zwracała też uwagę na pogarszające się warunki zatrudnienia w Państwowej Straży Pożarnej i Polskiej Żegludzie Morskiej.

– W ubiegłym roku wszystko wyglądało świetnie, wszystko było dochodowe, kwitło! Przy obecnej władzy nastąpiła apokalipsa. Wszystkie zakłady nie pracują dobrze, przynoszą straty, i to miliardowe. Jak to się stało, że z lata zrobiła się zima? – pytał Mieczysław Jurek, szef zachodniopomorskiej „S”.

W trakcie demonstracji złożono na ręce wojewody zachodniopomorskiego Adama Rudawskiego petycję skierowaną do premiera Donalda Tuska. Związkowcy oczekują, że wojewoda będzie osobiście uczestniczył w sesjach wojewódzkiej RDS oraz postara się o zorganizowanie „cyklicznych, bilateralnych spotkań z ministrami lub przedstawicielami ministerstw” odpowiedzialnymi za poszczególne branże. **S**



Fot. Region NSZZ „Solidarność” Pomorze Zachodnie



Fot. M. Żeglirski

„Dla nas jest rzeczą oczywistą, że ten dzień powinien być poświęcony przygotowaniu do Bożego Narodzenia. Będę się cieszył, jeśli Wigilia stanie się dniem wolnym od pracy”.

Krzysztof Dośla, szef Regionu Gdańskiego NSZZ „S”,
Radio Gdańsk, 30 października br.

W ROCZNICĘ ŚMIERCI MARIANNY I WŁADYSŁAWA POPIEŁUSZKÓW

Parlamentarzyści, samorządowcy, mieszkańcy Suchowoli i delegacje NSZZ „Solidarność” z Podlasia i całego kraju złożyli kwiaty na grobie śp. Marianny i Władysława Popiełuszków w kolejną rocznicę ich śmierci. Na uroczystościach zorganizowanych przez podlaską Solidarność, władze Suchowoli oraz tamtejszą parafię pw. św. Apostołów Piotra i Pawła obecna była również bratowa ks. Jerzego, Alfreda Popiełuszko.

Wierni zebrali się 27 października na cmentarzu parafialnym, by oddać cześć bł. ks. Jerzemu Popiełuszcze i jego rodzicom.

– To ich postawa przyczyniła się do tego, że w ich rodzinie wyrósł właśnie ten wielki kapłan – powiedział przewodniczący podlaskiej Solidarności Józef Mozolewski w rozmowie z TVP3 Białystok.

– Ofiara księdza Jerzego i późniejsze słowa matki, która wybaczyła mordercom, świadczą zarówno o jego świętości, jak i o świętości Marianny Popiełuszko – stwierdził z kolei burmistrz Suchowoli Michał Matyskiel.

Zebrani wzięli także udział we Mszy Świętej pod przewodnictwem metropolity białostockiego księdza arcybiskupa Józefa Guzdkę.

– Trzeba to dziś z całą mocą powiedzieć, że zewnętrzne oznaki czci składane ks. Jerzemu nie wystar-

czą! Dziś trzeba głosić prawdę i żyć w prawdzie! [...] On bardziej słuchał Boga aniżeli ludzi. A w tej kwestii miał słuch absolutny, co potwierdził męczeńską śmiercią – mówił w homilii abp Guzek.

– Dziś trzeba zapytać o stan naszych serc i umysłów. Czy nie zalega w nich pokłady nienawiści, chęci odwetu i zemsty? Czy nie zdradziliśmy prawdy i czy nie pozostajemy na usługach partyjnej ideologii? – dodawał hierarcha.

Po nabożeństwie poświęcono nową Izbę Pamięci Błogosławionego Księdza Jerzego Popiełuszki, którą otworzono w zabytkowym budynku dawnego domu parafialnego.

SPOTKANIE LIDERÓW

Blisko 180 osób uczestniczyło w spotkaniu liderów związkowych z Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność”, które odbyło się 25 października.

Jednym z prelegentów był zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”. Rafał Woś radził, jak skutecznie przekazywać informacje oraz jak kreować wizerunek lidera związkowego w mediach.

Później odbył się panel dyskusyjny poświęcony wyzwaniom stojącym przed związkami zawodowymi oraz strategiom, jakie należy przyjąć w działalności związkowej. Dyskusję na te tematy prowadzili: przewod-

niczący Zarządu Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność” Bartosz Budziak, przewodniczący KZ NSZZ „S” w Volkswagen Motor Polska w Polkowicach Włodzimierz Broda oraz przewodniczący Solidarności w KGHM Polska Miedź S.A. Oddział Zakłady Górnicze Rudna Marcin Kaczanowski.

Spotkanie zakończyło się sesją integracyjną służącą wymianie doświadczeń.

PEREGRYNACJA PO MAZOWSZU

Obraz Matki Bożej Robotników i Solidarności wraz z relikwiami bł. ks. Popiełuszki i miniaturą Krzyża Nowohuckiego peregrynuje po Regionie Mazowsze NSZZ „S”, który w przyszłym roku będzie współorganizował 43. Ogólnopolską Pielgrzymkę Ludzi Pracy.

22 października wizerunek Matki Bożej został przeniesiony z parafii św. Stanisława Kostki do parafii pw. św. Jana Kantego na warszawskim Żoliborzu. Tam pozostanie do 8 listopada, by następnie, na czas Święta Niepodległości, trafić do warszawskiej katedry św. Jana.

Obraz Matki Bożej Robotników i Solidarności został namalowany w trzech kopiach w 1984 roku przez podlaskiego malarza Artura Chacieja. Najmniejszy z nich otrzymał ks. Jerzy, a największy został przekazany do sanktuarium NMP na Jasnej Górze.

M.K.

Kalendarium Solidarności

10.11.1980 – NSZZ „Solidarność” zostaje zarejestrowana przez Sąd Najwyższy (w drodze kompromisu przyjęto oryginalny statut z aneksem zawierającym fragmenty konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz zapis o kierowniczej roli partii);

10.11.1983 – w rocznicę rejestracji „S” przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie odbywają się demonstracje;

7.11.2003 – z inicjatywy Solidarności rozpoczynają się Ogólnopolskie Dni Protestu Przeciwko Antyspołecznej Polityce Rządu. W pikietach i manifestacjach trwających do 26 listopada wzięto udział około 50 tys. związkowców.

Lech Kaczyński znów przeszkadza

Tuż po katastrofie smoleńskiej w kwietniu 2010 roku prof. Zdzisław Krasnodębski opublikował na łamach „Rzeczpospolitej” tekst pt. „Już nie przeszkadza”. Pisał w nim o **przemysle pogardy**, „potoku brudu” i „fali nienawiści”, która wylewała się z ekranów telewizorów i dotyczyła prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Profesor wytknął też hipokryzję elit III RP, które po tragicznej śmierci prezydenta zupełnie zmieniły ton.

| Marcin Krzeszowiec |



Ten epizod uprzejmości nie potrwał jednak zbyt długo. Krótki czas po żałobie rozpętała się awantura o krzyż postawiony przez harcerzy pod Pałacem Prezydenckim. Do dziś trwa też dyskusja, dlaczego w stolicy nadal nie nadano żadnej ulicy imienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

24 października w tamtejszej Radzie Miasta odbyło się głosowanie w sprawie ulicy Lecha Kaczyńskiego, która znajduje się na Przymorzu Wielkim. Radni Koalicji Obywatelskiej przegłosowali wniosek, by przeprowadzić konsultacje z mieszkańcami i zapytać ich, czy nie chcą zmiany nazwy ulicy.

GDAŃSK PRZEPROWADZI KONSULTACJE Z MIESZKAŃCAMI PRZYMORZA WIELKIEGO WS. ZMIANY NAZWY ULICY PREZYDENTA LECHA KACZYŃSKIEGO.

To przecież również były prezydent Warszawy.

– Dopóki w Polsce rządzi Prawo i Sprawiedliwość, nazywanie ulicy w Warszawie imieniem Lecha Kaczyńskiego byłoby skrajnie upolitycznione – stwierdził na początku 2021 roku szef warszawskiego klubu radnych KO Jarosław Szostakowski.

Jak widać, po zmianie władzy sytuacja się nie zmieniła. To nie rządy Zjednoczonej Prawicy były tutaj problemem, tylko walka polityczna.

Naprawdę trudno wskazać racjonalną przyczynę, dla której politycy mieliby z takiego powodu skakać sobie do gardeł. Upamiętnienie postaci poprzez nazwanie ulicy jej imieniem powinno być czymś naturalnym. Niestety nie jest, a przynajmniej nie dla wszystkich.

Dekomunizacja

Lata lecą, a walka o tę ulicę przemieszcza się teraz do Gdańska.

Argumentowali, że kilka lat temu, gdy zmieniano nazwę ulicy – z Dąbrowszczaków na ul. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego – nikt nie zapytał mieszkańców o zdanie.

Decyzję o przemianowaniu ulicy podjął w 2017 roku wojewoda pomorski Dariusz Drelich na podstawie ustawy z 2016 roku o zakazie propagowania komunizmu.

Wojewoda działał na podstawie ustawy z 1 kwietnia 2016 roku o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej, w tym dróg oraz ulic. Kompetencja

samorządu została wówczas przekazana na poziom centralny.

Instytut Pamięci Narodowej argumentował, że nazwa ulicy powinna zostać zmieniona, ponieważ Dąbrowszczacy w czasie wojny domowej w Hiszpanii w latach 1936–1939 „walczyli o budowę państwa stalinowskiego”. Byli to komuniści i inni ochotnicy, przede wszystkim narodowości polskiej, członkowie XIII Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, którzy realizowali politykę stalinowską na Półwyspie Iberyjskim.

– Z ich szeregów wywodzili się aktywiści komunistyczni (m.in. Bolesław Mołojec, Eugeniusz Szyr, Karol Świerczewski) działający na szkodę polskiej niepodległości i demokracji. Żadne argumenty relatywizujące ich działalność (np. że nie wszyscy byli komunistami) nie zmieniają faktu, że jako grupa służyli zbrodniczej ideologii komunistycznej – napisano na stronie IPN.

Protest gdańskiej Solidarności

Krytycznie do pomysłu zmiany nazwy

ulicy prezydenta Lecha Kaczyńskiego odnieśli się byli radni miasta Gdańska, Federacja Młodzieży Walczącej, Stowarzyszenie „Godność” i związkowcy z Regionu Gdańskiego. Na dzień przed głosowaniem wystosowali pismo do Radnych Miasta Gdańska



To ulica, która od wielu lat budzi w Gdańsku duże emocje i wciąż jest tematem dyskusji zarówno mieszkańców tej ulicy, jak i dzielnicy – myślę, że można powiedzieć, że również całego miasta.

AGNIESZKA OWCZARZAK, przewodnicząca Rady Miasta Gdańska

z Koalicji Obywatelskiej, apelując, by nie podejmowali zbyt pochopnych decyzji.

– Rozpoczynacie w Gdańsku awanturę, aby przypodobać się demokracji walczącej w Warszawie. ➤

Nigdy nie zgłosilibyśmy postulatu, aby pozbawić prezydenta śp. Pawła Adamowicza nazwy ulicy lub prawa do specjalnego epitafium w bazyle Mariackiej. Zatem w imię czego wszczynacie tę wojnę? – pytali w liście związkowcy i opozycjoniści z czasów PRL.

Przypomnieli również wieloletnie związki śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego z Gdańskiem, które

rozpoczęły się już na początku lat 70. Wówczas polityk przybył do Trójmiasta i zamieszkał w Sopocie.

Zaznaczyli, że Lech Kaczyński był wykładowcą prawa pracy na Uniwersytecie Gdańskim, na którym w 1980 roku obronił swój doktorat, a dziesięć lat później uzyskał habilitację. Zaangażował się również w tworzenie związku zawodowego Solidarność i w 1981 roku został delegatem na pierwszy Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S” w gdańskiej Hali Olivia. W pierwszych wolnych wyborach do Senatu w czerwcu 1989 roku zdobył mandat senatora Ziemi Gdańskiej.

W kolejnych latach pełnił funkcję prezesa Najwyższej Izby Kontroli, ministra sprawiedliwości i prezydenta Warszawy. Po wygranych wyborach prezydenckich jako najważniejsza osoba w państwie udał się do Katynia, by wziąć udział w 70. rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Jego życie przerwała katastrofa smoleńska 10 kwietnia 2010 roku.

– Pamiętajmy o tej nietuzinkowej biografii, pytając: Jaką nazwę powinna mieć obecna ul. Prezydenta

Lecha Kaczyńskiego? – apelowali przedstawiciele gdańskiej Solidarności i organizacji patriotycznych.

Wyrazili przy tym nadzieję

w zwycięstwo rozsądku „w duchu łacińskiej herbowej dewizy naszego Miasta – NEC TEMERE, NEC TIMIDE” – a więc: „bez pochopności, ale i bez lęku”.

Zapelowali też do radnych Koalicji Obywatelskiej, by nie wywoływać „kolejnej ostrej dyskusji” i nie dzielić społeczeństwa, ale szukać raczej

tego, co łączy, a nie tego, co dzieli. Niestety na próżno.

Cztery warianty

Gdańscy radni KO dopięli swego i ustalili, że konsultacje z miesz-

kańcami Przymorza Wielkiego potrwać od 10 stycznia do 31 marca 2025 roku. Do pytania „Jaką nazwę powinna mieć obecna ul. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego?” dołączyli cztery warianty: powrót

do poprzedniej nazwy „Dąbrowszczaków”, zmiana na „Biały Dwór”, pozostawienie obecnej nazwy bądź zasugerowanie innej propozycji.

– Jest to ulica, która od wielu lat budzi w Gdańsku duże emocje i wciąż jest tematem dyskusji zarówno mieszkańców tej ulicy, jak i dzielnicy – myślę, że można powiedzieć, że również całego miasta – stwierdziła w trakcie konferencji Agnieszka Owczarczak, przewodnicząca Rady Miasta Gdańska.

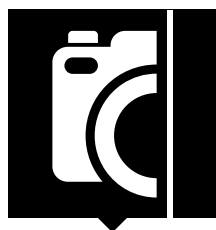
No tak, z pewnością gdańszczanie nie przejmują się wysokimi cenami mieszkań czy zakorkowanymi drogami. Ich najbardziej interesuje to, czy mieszkańcy jednej z dzielnic będą mieszkać przy ul. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, czy przy „Białym Dworze”.

Ta druga propozycja to nazwa polnej drogi, przy której stał jeden budynek w czasach, gdy Gdańsk należał do Prus. Innymi słowy – nic nieznacząca dla miasta i jego mieszkańców propozycja.

DRUGA PROPOZYCJA ULICY TO NAZWA POLNEJ DROGI, PRZY KTÓREJ STAŁ JEDEN BUDYNEK W CZASACH, GDY GDAŃSK NALEŻAŁ DO PRUS – NIC NIEZNACZĄCA DLA MIASTA I JEGO MIESZKAŃCÓW PROPOZYCJA.

kańcami Przymorza Wielkiego potrwać od 10 stycznia do 31 marca 2025 roku. Do pytania „Jaką nazwę powinna mieć obecna ul. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego?” dołączyli cztery warianty: powrót

Cała ta sprawa pokazuje jak w soczewce sposób działania Koalicji Obywatelskiej znany z dawnych lat. Nic się nie zmieniło. Prezydent Lech Kaczyński znów im przeszkadza. **S**



Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Proszę, dziś mamy łosie.

Tomek: – To para łosi z Puszczy Kampinoskiej.

– Mieliśmy dziś zaprezentować zupełnie inne zdjęcie, ale ta Pana historia z łosiami...

– To było w listopadzie 2001 roku. Szedłem sobie puszcza, przystaną-

łem, odwracam się, a tuż obok mnie stoją łosie.

– Normalnie pewnie by na widok człowieka uciekły. Ale Pan zna Puszcę Kampinoską jak własną kieszeń, przeszedł ją Pan wzdłuż i wszerz, a zwierzęta wyczuwają swojego.

– W każdym razie nie pobiegły. Ten, który jest na pierwszym planie, szedł w moim kierunku, a ja wyjąłem aparat i zacząłem robić mu zdjęcia. Tak się przekomarzałyśmy przez chwilę, ale udało mi się wykonać ładną serię zdjęć.

Rozmawiała Barbara Michałowska **S**

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność” można zamówić na cztery sposoby:

- 1) Bezpośrednio u wydawcy „TS” – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com, numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
- 2) w wersji elektronicznej przez: tysol.pl;
- 3) „RUCH” SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
- 4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro
- przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

PRAWO

LOTERIA W SIECI, czyli co warto wiedzieć?

W związku z ostatnimi wydarzeniami w Polsce raczej nie będę oryginalny – interesuje mnie kwestia loterii organizowanych w sieci, często przez tzw. internetowych influencerów. Jak to jest z legalnością takich gier? Czy aby móc zorganizować taką loterię, **trzeba mieć jakieś pozwolenia?**

| Tomasz Oleksiewicz, radca prawny |

Organizowanie losowań z nagrodami pieniężnymi, zwłaszcza o dużej wartości, to temat, który często budzi wątpliwości, szczególnie w kontekście ostatnich wydarzeń w Polsce. Zaangażowani w nie byli m.in. influencerzy, o których Pan wspominał. W polskim porządku prawnym takie działania podlegają rygorystycznym regulacjom, które mają na celu ochronę uczestników oraz kontrolę nad legalnością takich przedsięwzięć. Przepisy te zostały ujęte w ustawie o grach hazardowych z dnia 19 listopada 2009 roku, która szczegółowo reguluje organizowanie wszelkiego rodzaju gier losowych, w tym loterii. Loteria zgodnie z polskim prawem to gra losowa, w której uczestnicy mają możliwość wygrania nagród, przy czym o wygranej decyduje przypadek, a nie umiejętności uczestników. Loterie mogą przybierać różne formy: od fantowych (rzeczowych) po loterie pieniężne, gdzie nagrodą są środki finansowe. Organizacja takiej gry, zwłaszcza gdy nagrodą są pieniądze, wiąże się z koniecznością uzyskania odpowiednich zezwoleń oraz prze-

strzegania przepisów, które regulują tego rodzaju działalność. Każda loteria o charakterze losowym, w której nagrody są pieniężne, wymaga uzyskania zezwolenia od właściwego dyrektora Izby Administracji Skarbowej na jej zrealizowanie.

Zarówno wysokość nagród, jak i skala loterii wpływają na procedurę uzyskania tego zezwolenia. W przypadku loterii o wysokiej wartości nagród organizator musi złożyć wniosek i spełnić wiele warunków formalnych, takich jak: przedstawienie regulaminu loterii, który opisuje zasady udziału oraz mechanizm wyłaniania zwycięzców, złożenie opłat związanych z uzyskaniem zezwolenia, udokumentowanie środków przeznaczonych na nagrody oraz zabezpieczenie ewentualnych zobowiązań podatkowych. Nieuzyskanie zezwolenia na organizację takiej loterii skutkuje poważnymi konsekwencjami prawnymi, w tym karami finansowymi oraz możliwością odpowiedzialności karnej. Organizowanie gier hazardowych bez zezwolenia jest przestępstwem, za które grozi

grzywna, a nawet kara pozbawienia wolności do lat 3.

Warto zwrócić uwagę, że obok loterii możemy mieć do czynienia z konkursem, który nie jest traktowany przez prawo jako gra hazardowa. Tu bowiem wygrana nie zależy wyłącznie od przypadku, lecz od umiejętności uczestników, takich jak wykonanie zadania, odpowiedź na pytanie konkursowe lub inny element wymagający wysiłku intelektualnego. Konkursy nie wymagają uzyskania zezwoleń, jednak regulamin konkursu powinien jasno precyzować zasady oraz sposób wyłaniania zwycięzcy, tak aby uniknąć elementu przypadkowości.

Taka organizacja konkursów, w których wygrana zależy od zdolności uczestników, może być prostszym rozwiązaniem, które pozwala uniknąć skomplikowanych procedur prawnych związanych z organizacją loterii losowych. Należy jednak unikać sytuacji, w których konkurs przekształca się w loterię, ponieważ wówczas przepisy hazardowe zaczną mieć zastosowanie. **S**

CIĘŻAR DOWODU w prawie pracy

W numerze 44 „Tygodnika Solidarność” przybliżona została kwestia skutków naruszenia praw i obowiązków przez strony stosunku pracy. Zasadniczą konkluzją tamtych rozważań było stwierdzenie, że co do zasady ostatecznym środkiem reakcji w takiej sytuacji jest dochodzenie roszczeń związanych z niezgodnym z prawem działaniem na drodze sądowej. Nawiązując do tego tematu, warto przedstawić zagadnienie ściśle z tym związane, a mianowicie tzw. rozkład ciężaru dowodu.

Dr **Jakub Szmít**, specjalista z zakresu prawa pracy

NIE WYMAGA SZERSZEGO UZASADNIENIA

stwierdzenie, że kierując sprawę do sądu, pracownik jest przekonany co do swojej racji, czyli uważa, że zachowanie pracodawcy było sprzeczne z prawem i wywołało negatywne skutki dla zatrudnionego. Z kolei druga strona jest zazwyczaj odmiennego zdania (poza skrajnymi przypadkami, w których pracodawca świadomie i z premedytacją łamie przepisy). Przykładem może być spór o wadliwie obliczone i wypłacone wynagrodzenie, kiedy powstaje rozbieżność, np. co do zasad naliczania wysokości premii, ze względu na mało precyzyjne zasady jej przyznawania. Wniesienie pozwu ma w tej sytuacji doprowadzić do tego, że sąd przyzna rację pracownikowi i nakaże pracodawcy wypłatę wynagrodzenia w prawidłowej wysokości.

Naturalne jest, że dla uzyskania korzystnego rozstrzygnięcia konieczne jest przekonanie sądu do swoich racji i właśnie w tym kontekście pojawia się zagadnienie rozkładu ciężaru dowodu. W pewnym uproszczeniu można przyjąć, że sformułowanie to odnosi się do tego, kto (która strona

sporu) ma udowodnić swoje racje, która ma przekonać sąd.

Należy wskazać, że w sprawach z zakresu prawa pracy obowiązuje ogólna zasada wywodząca się z Kodeksu cywilnego, w którym art. 6 tego aktu wskazuje, że ciężar udowodnienia faktu spoczywa na osobie, która z faktu tego wywodzi skutki prawne. Innymi słowy, dowodzić swoich twierdzeń musi ta strona, która z tych twierdzeń chce uzyskać określony efekt. Wracając zatem do wcześniejszego przykładu ze sporem o wysokość wynagrodzenia, należy uznać, że skoro to pracownik żąda wypłaty w większej wysokości, twierdząc że pracodawca je zaniżył, to właśnie pracownik powinien to udowodnić.

Duże praktyczne znaczenie ma w tym kontekście to, że w razie sporu co do istnienia przyczyny wypowiedzenia i tego, czy jest zasadna, ciężar dowodu spoczywa na pra-

codawcy. Pracownika natomiast obciąża dowód istnienia okoliczności przytoczonych przez niego w celu wykazania, że wypowiedzenie jest nieuzasadnione, czyli że albo przyczyna jest nieprawdziwa, albo niewystarczająca (wyrok SN z 8.03.1977, I PRN 17/77).

Należy jednak wyraźnie podkreślić, że od owej zasady prawo pracy przewiduje dosyć istotne wyjątki.

Najbardziej doniosłym tego przykładem są sprawy o dyskryminację. Otóż w tym wypadku w art. 18^{3b} kp mowa jest o tym, że dyskryminacją jest różnicowanie pracowników w oparciu o zakazane kryteria (np. przynależność związkową), które wywołują określone skutki (np. odmowę zatrudnienia). Gdyby przepis na tym poprzestał, to pracownik

musiałby udowadniać, że

po pierwsze jest gorzej

traktowany niż inni

zatrudnieni, a po

drugie, że powodem

tego jest niedopuszczalna przyczyna.

Jednakże w tym

samym przepisie

zawarte jest sfor-

mułowanie: „chyba że

pracodawca udowodni, że

kierował się obiektywnymi powodami”. A zatem to nie pracownik musi

udowadniać, że jest ofiarą dyskry-

minacji, tylko pracodawca – że nie

dyskryminował (pracownik musi to

jedynie uprawdopodobnić, co jest

dużo łatwiejszym zadaniem). **S**

TO NIE PRACOWNIK
MUSI UDOWADNIAĆ,
ŻE JEST OFIARĄ
DYSKRYMINACJI,
TYLKO PRACODAWCA
– ŻE NIE
DYSKRYMINOWAŁ.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy śłać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com**

(w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres:

„Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.



Cezary Krysztopa

Stan likwidacji

Byłem na pokazie przedpremierowym filmu Anity Gargas „Stan likwidacji”. I muszę powiedzieć, że jestem w szoku. W naprawdę sporym szoku.

Oglądaliśmy wersję „roboczą” i nie wiem, jak się będzie miała do wersji ostatecznej, ale jedna z rzeczy, które uderzyły mnie na początku, to przebitka ze słynnego przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego, w którym ten ogłasza stan wojenny. Pomyślałem sobie wtedy: „Eee, to chyba jednak przesada”, ale im dłużej oglądałem film, tym bardziej byłem przekonany o tym, że właśnie ta krótka przebitka prawidłowo ukazuje paralelę pomiędzy „przywracaniem praworządności” stanu wojennego a „przywracaniem praworządności” obecnie.

Ileż to przewrotów politycznych zaczęło się od przejęcia central informacyjnych. To naturalne, zamachowcy chcą mieć przecież wpływ na opinię publiczną. A i Jaruzelski wprowadzał do ówczesnych komunistycznych mediów

rządowych komisarzy politycznych. Kiedy zasięgałem w tej sprawie opinii Tadeusza Płużańskiego, okazało się, że ostatniego komisarza politycznego z czasów Jaruzelskiego zwolnił za czasów, kiedy był szefem publicystyki TVP Info. Tak i przewrót, którego dokonał Donald Tusk, zaczął od przejęcia mediów publicznych.

Ktoś powie: „Jaki przewrót, Tusk doszedł do władzy w wyniku demokratycznych wyborów” – to prawda, ale szereg działań, które niedługo po tym podjął jego rząd, w tym siłowe przejęcie mediów i prokuratury, złamanie systemu prawnego poprzez niestanowiące podstawy prawnej, a realizowane w praktyce uchwały parlamentu zamiast ustaw, „dekrety”, komunikaty ministra sprawiedliwości, kwestionowanie konstytucyjnie umocowanych instytucji, wskazuje na cechy przewrotu. Wszystko to wiecie. A to nie tylko fanaberia demokratycznie wybranego rządu, to zamach na podstawy ustrojowe III Rzeczypospolitej.

Film w jakiejś części stanowi rekapitulację wydarzeń, o których już wiadomo. Jednak zestawienie ich w ciąg przyczynowo-skutkowy poraża skalą bezprawia, która wybija się nawet na tle codziennych informacji o katastrofach kolejnych aspektów istnienia państwa. Najbardziej jednak porażające są elementy, które wskazują na wpływy zewnętrzne, a także wskazujące na rozmach przygotowań do operacji, którą sami organizatorzy – jak wiemy z ujawnionych przez Marcina Dobskiego informacji – nazywali „Wejście”.

Pytania, które się przy tym nasuwają, a które na pewno staną kiedyś przed służbami naszego państwa, o ile pozostanie państwem, to: „Od kiedy planowano operację przejęcia mediów publicznych?”, „Jaki zasięg miało wewnętrzne wsparcie sabotażystów wewnątrz instytucji?”, „Czy operacja miała wsparcie służb?”, „Jakie siły zewnętrzne wspierały ten element przewrotu Tuska?”.

Powiem szczerze, że nie mogę się już doczekać ostatecznej wersji filmu. I Wam gorąco polecam zapoznanie się z tym wstrząsającym dokumentem. **S**

Nasi autorzy

Krzysztof Karnkowski (Sztuczna..., s. 60),

doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność”, wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Krzysztof Kwaśnica (Z pamiętnika..., s. 31),

jest robotnikiem i pracuje w fabryce.

Marek Nowak (Ostatni bój..., s. 32),

publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection”.

Agnieszka Żurek (Tylko..., s. 12),

z „Tygodnikiem Solidarność” związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni” o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany” w jednej z instytucji państwowych.

Halowy Turniej w Piłce Nożnej

im. Dariusza Jaciuka

organizowany z okazji

Święta Niepodległości

9 listopada 2024 r.

SIERPC



ORGANIZATOR TURNIEJU:

KRAJOWA SEKCJA PRZEMYSŁU MLECZARSKIEGO, SPIRYTUSOWEGO
I KONCENTRATÓW SPOŻYWCZYCH NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”



TRADYCYJNIE

O GODZ. 9.00 ZOSTANĄ ZŁOŻONE KWIATY POD POMNIKIEM OFIAR KATYNIA,

**O GODZ. 10.00 ROZPOCZNIE SIĘ TURNIEJ W HALI SPORTOWEJ
PRZY SZKOLE NR 2, UL. PŁOCKA 38 W SIERPCU**

POD HONOROWYM PATRONATEM:

PATRONAT HONOROWY STAROSTY SIERPECKIEGO

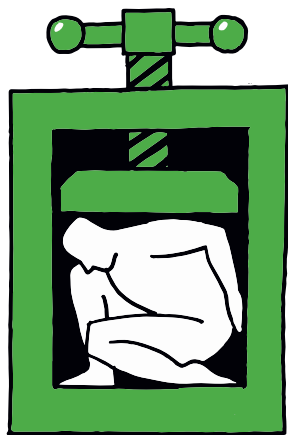
BURMISTRZA MIASTA SIERPCA



**POWIAT
SIERPECKI**



SIERPC
Miasto ze smakiem



ZATRZYMAJ ZIELONY ŁĄD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

w w w . p r e c z z z i e l o n y m ł a d e m . p l

- 👤 Zniszczenie polskiego rolnictwa
- 👤 Drogi prąd i ciepło. Zakaz ogrzewania gazem i węglem
- 👤 Zakaz aut spalinowych. Gigantyczne opodatkowanie paliw
- 👤 Przymusowe dostosowanie budynków do „zeroemisyjności”
- 👤 Upadek lub ucieczka przemysłu. Bezrobocie
- 👤 Drożyzna w sklepach. Ogromne koszty transportu

PODPISZ WNIOSEK O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

